

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr. 13.

31 Października.

1875.

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

REDAKCJA:
Zwierzyniecka Nr 36 w Krakowie.

ADMINISTRACJA:
w księgarni G. Gebethnera i Sp. na-
kladców w Krakowie.

Cena przedpłaty:

Rocznie: 6. Zlr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr.
1 Fr. 25 cent.

Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracja po
6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

Księgarnia G. Gebethnera i Sp.
w Krakowie, oraz wszystkie większe
księgarnie w kraju i za granicą.

PP. Prenumeratorowie zechcą przedpłatę za
kwartał bieżący składać w księgarni G. Ge-
bethnera i Spółki w Krakowie.

Treść.

206. Benoni: Rys geografii i historii powszechnej. Tom I.
207. Krüger: Die Polen Chronik des Boguchwal.
208. Liske: Zjazd w Poznaniu w roku 1510.
209. Orda: Album widoków gubernii grodzieńskiej, wileńskiej,
mińskiej, kowieńskiej, wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej.
210. Dutkiewicz: O znaczeniu jurysprudeney.
211. Nauka o ziemi i ciałach niebieskich.
212. Zajaczkowski: O całkach osobliwych zwyczajnych róż-
niczkowych rzędu jakiegokolwiek.
213. Hofmann: Wstęp do nowoczesnej chemii, przełożył Ma-
słowski.

214. Rostafiński: Quelques mots sur l'Haematococcus lacustris.
215. Korczyński: Zapalenie stawów ze stanowiska ajtyolo-
gicznego.
216. Widmann: Sprawozdanie z oddz. II. chorób wewnętrznych
w szpitalu lwowskim 1873 r.
217. Malinowski: Modlitwy Wacława, zabytek języka polskiego
z wieku XV.
218. Węclewski: Trachinki, tragedia Sofoklesa, przekład.
219. Bałucki: Z obozu do obozu, powieść.
Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Od Wydawców.

Mamy zaszczyt zawiadomić Szanownych Czytelników **Przeglądu Krytycznego**, że pismo to, wydawane dotychczas nakładem Adolfa Otremby, księgarza tutejszego, nabyliśmy na własność i wyda-
wać będziemy odtąd naszym nakładem. **Redakcja** pozostaje nadal niezmieniona, w tym samym
składzie, i trzymać się będzie dotychczasowego programu i kierunku. Do starań jej o coraz większe
pomnożenie grona współpracowników i o dalsze ulepszenie pisma będziemy się usilnie przykładać
i czynić jej wszelkie ułatwienia.

Rozmiary pisma, termin wychodzenia i warunki prenumeraty, **tymczasowo** zostają te same co dotąd.

Bieżący kwartał doliczamy do czterech ubiegłych, tak, iż pierwszy rocznik, składający się z pię-
ciu kwartałów, ukończy się 15 numerem w końcu Grudnia b. r., a dopiero od Nowego Roku rozpocznie
się następny.

Numerów poprzednich będzie na żądania dostarczać nasza księgarnia, do której prosimy się uda-
wać także z wszelkimi reklamacyami o zaległe numera.

Kraków 29 Października 1875 roku.

Wydawnictwa pisma **Przegląd Krytyczny** odstąpiłem zupełnie od miesiąca Października b. r.
księgarni pp. G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.

G. Gebethner i Spółka.

Adolf Otremba.

Historia i geografia.

Dr. Karol Benoni. Rys geografii i historii powszechnej dla
wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej. Tom I.
Świat starożytny. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda 1874/5,
str. 418. 8vo.

206] Od podręczników szkolnych w ogóle wymagamy
ściśłości pod względem naukowym i zastosowania wykładu
do pedagogicznych i dydaktycznych potrzeb szkoły. Są
to warunki niezbędne dla każdej książki używanej w szko-
łach, szczególnie zaś dla dzieła treści historycznej, któ-
rego zadaniem jest nie tylko podawać młodzieży najnowsze
zdobyte naukowe w formie przystępnej, ale zarazem wpły-

wać stosownie na jej umysł i budzić do życia szla-
chetniejsze władze duszy. Czy p. B., zabierając się do
pisanja swojej książki, ten a nie inny cel miał na myśli,
nie wiemy, że się z nim jednak zupełnie rozminął, to
pewna. Tak pod względem umiętym bowiem, jak i dy-
daktycznym, praca jego nie zdoła zadowolnić skromnych
nawet wymagań, a tem mniej—co miało być jej celem—
zastąpić używaną dotychczas w szkołach w Galicyi książkę
Pütza.

Autór w swoim opracowaniu dziejów starożytnych
trzyma się w ogóle sześciu dzieł. Do historii wschodu a po-
części i Grecyi używa: *Gesch. des Alterthums* Dunckera
i *Spiegla*: Eran, w historii greckiej opiera się

głównie na dziele E. Curtiusa, dzieje rzymskie kreśli na podstawie prac Schweglera, Mommsena i Ihnego. Co do pierwszej części zauważyć musimy, że 3 wydanie dzieła Dunckera (z r. 1863), używające swojego czasu wielkiej a zupełnie zasłużonej sławy, dziś po poszukiwaniach dokonanych w Assyryi i Babilonii i po odcyfrowaniu mnóstwa napisów tam znalezionych, jest już przestarzałem. Sam też Duncker uznając to w najnowszym, czwartym wydaniu (1875), zmienił zupełnie według tych nowych rezultatów znaczne części w swojej historii. Z tego wydania p. B. korzystać nie mógł, bo pisał przed jego ogłoszeniem; ale mógł i powinien był korzystać z innych źródeł. Od lat kilkunastu pracują szczególnie Anglicy i Francuzi nad historią assyryjską i babilońską, a rezultaty, do jakich w pracach swoich doszli, zmieniają pod niejednym względem dotychczasowe pojęcia o rozwoju ludów, zamieszkujących wybrzeża Tygrysu i Eufratu. *Journal des Savants* ogłaszał od r. 1872 cały szereg artykułów traktujących o nowych odkryciach, dokonanych na zwaliskach Niniwy i Babilonu, a prace Opperta (*Babylone et Babyloniens*. Paris 1869), Smitha (*History of Assyrian and Babylonian* etc. London 1871), rzucały nowe zupełnie światło na całą cywilizację assyryjsko-babilońską. Tymczasem w książce p. B. nie znajdujemy żadnego śladu tych publikacji. Powołuje się on wprawdzie tu i owdzie w dopiskach na Lenormanta, w tekście atoli nie odstępować ani na krok Dunckera (w wydaniu z r. 1863) pozwalając sobie przytem niczem nieuzasadnionych poprawek — jak na str. 19, gdzie twierdzi, że Nebukadnezar jako król babiloński stoczył bitwę pod Circesium i to po drodze, powracając z wyprawy assyryjskiej! — i pomyłek — jak na str. 62, gdzie Sardanapalowi każe zdobywać Samaryę — dowodzących albo nieznajomości rzeczy, albo też pobieżności autora.

Gorzej jeszcze niż z historią wschodu ma się rzecz z dziejami Grecyi. P. B. nie chce np. znać powodów wojen messenickich i twierdzi (str. 152), że po pierwszej wojnie cały kraj z wyjątkiem zachodnich wybrzeży przeszedł pod panowanie spartańskie. Tyrteusz jest u niego tylko poeta, a przecież należało wspomnieć i o politycznej jego działalności. Megakles, współzawodnik Pizistratesa nie jest jak chce autor (162) synem Megaklesa, archonta z r. 612 ale Alkmaiosa. O Xerksie opowiada p. B. (174) rzeczy niesłychane. Po przejściu przez Hellespont wsadził on pod Acanthus wojsko na okręty, opłynął półwyspy Sythonia i Pallene i wyładował z armią u podnóża Olimpu. Mimowolnie nasuwa się pytanie, dla czego król perski nie popłynął wprost do Aten? albo po co stawiał mosty na Hellesponcie, kiedy z brzegów azjatyckich na flocie mógł przewieźć wojsko do Grecyi? Na str. 191 utrzymuje autor, że Alcibiadesa oskarżono o uszkodzenie słupów Hermesa, chociaż źródła współczesne od Tucydidesa poczynawszy, a na Andokidesie skończywszy, nie o tem nie wspominają. Na str. 198 każe Kononowi po bitwie pod Aigospotamoi uciekać do Aten, podczas gdy wódz ten jak wiadomo udał się wtedy do Cypru.

Historia rzymska jest stosunkowo lepiej opracowana, chociaż i tu nie brak błędów rażących. Na str. 289 twierdzi p. B., że w skutek prawa Icyluszowego (lex Icilia) wybierano nie pięciu jak dotąd ale 10 trybunów ludowych. Mommsen (I. 283) i Schwegler (II. 272) zgadzają się co do roku i podają oba, że na to pomnożenie liczby trybunów zezwolono w r. 297, lecz nie na wniosek Icylusa. Ten bowiem przypada dopiero na rok na-

stępny i dotyczy nadania wzgórza Awentyńskiego plebejuszom (lex de Aventino publicando), a nie instytucji trybunów.

Opisując pochód Hannibala przez Alpy (str. 328) utrzymuje autor, że odbył on się w końcu października, chociaż Mommsen (I. 591), na podstawie gruntownych badań źródłowych wykazał, że wódz kartagiński w połowie września znajdował się już na równinach italskich. Jeżeli więc autor był przeciwnego zdania i na poparcie takowego mógł przytoczyć inne świeższe lub gruntowniejsze badania, to wypadało to tem bardziej uczynić, o ile że w innych miejscach, gdzie różnica pomiędzy książką p. B. a Pützem i Mommsenem nie jest tak wybitną jak ta, niebrak na cytatach i powoływaniu na Clasona lub Ihnego. — Na str. 337 opowiada autor przebieg wojny Rzymian z Antyochem III. i mniema, że zwycięstwo pod Magnezją odniósł Luc. Corn. Scipio, podczas gdy dowodził tam jak wiadomo Domitius. Na str. 319 gdzie mowa o wnioskach Liwiusa Drususa, poszedł p. B. zupełnie prawie za zdaniem Pütza, które tu właśnie żadną miarą utrzymać się nie da. Drusus bowiem nie wystąpił z wnioskiem, dążącym do nadania prawa obywatelstwa rzymskiego sprzymierzeńcom italskim, jakkolwiek wnioszek ten miał na myśli i powszechnie o tem wiadano. Na str. 364 twierdzi autor, że Cinna został zamordowany w południowych Włoszech, podczas gdy zginął on jak wiadomo w Ankonie a miasta tego nie zaliczano nigdy do Italii południowej. Na str. 377 każe się ubiegać Pompejusowi o konsulat na rok 57, co jest zupełnie mylnem.

Jeżeli książka p. B. pod względem umiejętnym pozostawia bardzo wiele do życzenia, to i ze względów dydaktycznych można autorowi wiele zarzucić. Praca jego jest przerobieniem książki Pütza. Ze jednak przeciw książce tej ze wszystkich stron podnoszono zarzuty, postanowił przeto p. B. nadać swemu dziełu koloryt więcej ożywiony i obrał do tego najniestosowniejszą drogę. Uzupełnił on „Historię“ Pütza w ten sposób, że pododawał wszędzie, gdzie tylko można było, podania mytyczne z właściwą historią nie zostające w ścisłym związku. Podania takie byłyby na miejscu w podręczniku dla klas niższych gimnazjalnych, w książce zaś, o której jest mowa, zabierają niepotrzebnie kilkanaście kartek, a nadto niektóre z nich, jak np. podanie o Semiramidzie, są dla uczniów klasy Vtej wprost niestosowne. Lepiej było oszczędzić miejsca, opuszczając te opowiadania, a rozszerzyć się tam, gdzie to było z pożytkiem i dla nauki i dla uczniów. Ale to właśnie najślabszą stroną książki p. B. Nie może on odróżnić rzeczy ważniejszych od mniej ważnych i wszędzie, gdzie tylko chce być oryginalnym, staje się jednostronnym i niedokładnym, zbywa krótko to, co uwydatnić należało, a rozszerza się tam, gdzie tego jak najmniej potrzeba. Na str. 285 np. nie wyjaśnia dostatecznie powodów, dla których plebejusze w coraz większe zapadali długi, ale za to rozwodzi się (286) szeroko nad tem w jaki sposób długi w Rzymie zaciągano. Panowanie Tyberjusza opowiada na trzech stronicach, a za to czasy Trajana i Hadriana mieści zaledwie na jednej. Na str. 369 uzupełnia podręcznik Pütza opisem rokoszu Lepidiusa, natomiast zaś pomija zupełnie losy Hannibala od bitwy pod Zamą aż do pojawienia się jego na dworze Antyocho III.

Styl p. B. odpowiada wewnętrznej wartości książki. Znać w nim pewne niedbalstwo i niewykończenie, a nie rzadko napotkać można błędy przeciwne duchowi języka polskiego. Na str. 334 np. pisze autor: „Skoro więc przy-

był Scypio do Afryki, przybył doń Massynisa;...“ na str. 336: ...to też gdy Etolowie w sposób gwałtowny wywołali wybuch wojny;... na str. 337: „...na którego czele stał M. Acil. Glabrio. Jemu towarzyszył M. P. Cato jako trybun wojskowy“. A kilka wierszy dalej: „Na rok 190 obrano konsulem L. Corn. Scypiona. Jemu towarzyszył brat jego Publiusz jako legat i w jego imieniu sprawował całe kierownictwo wyprawy“; na str. 366: „Obawiał on się jednak oddać tę sprawę w ręce zdemoralizowanego stronnictwa senatu, aby nie spaczyło tej sprawy“.

Na tem kończymy wyliczanie ważniejszych przynajmniej usterek, jakie w książce p. B. spostrzeżliśmy; a jakkolwiek nie wymieniliśmy wszystkich, to i ta liczba, o ile nam się zdaje, jest dostateczną, aby poznać, jak dalece podręcznik ten nie odpowiada wymaganiom nauki i szkoły. Sąd pod tym względem nie może wypaść dla autora korzystnie. Książka jego zawiera wprawdzie więcej niż „Historia“ Pütza, ale też niestety jedyna to jej wyższość, jeżeli objętość dzieła w ogóle za miarę wartości służyć może. A. Ś.

Gerhard Krüger: Die Polen-Chronik des Boguchwal. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der philosophischen Doctorwürde an den Universität Göttingen. Göttingen 1874. str. X i 44. 8-vo.

207] Sprawa autorstwa kroniki wielkopolskiej, przypisywanej Boguchwałowi i Godysławowi, lub też samemu tylko Godysławowi, należy do najbardziej spornych kwestyj w dziedzinie polskiej historyografii średniowiecznej; dla tego, ale też tylko dla tego, zasługuje rozprawa pana Krügera na szczegółowy rozbiór, gdyż jest obecnie niejako ostatniem słowem w tej kwestyi wyrzeczonem. Już przed pięćdziesięciu laty podniosła się opozycja przeciw zdaniu Sommersberga, pierwszego wydawcy tej kroniki, według którego autorem pierwszej jej części był poznański biskup Boguchwał II, drugiej zaś Godysław Pasko. W ostatnich czasach najgorliwiej bronił wyłącznego autorstwa Godysława August Mosbach, a do jego zdania przychylił się Zeissberg, który w znakomitem swem dziele o polskiej historyografii średniowiecznej, poprzestał na streszczeniu wywodów Mosbacha. Głównym reprezentantem przeciwnego zdania jest obecnie Bielowski.

P. Kr. oświadcza się przeciw zdaniu Mosbacha, zbijając jego wywody w II rozdziale swej rozprawy, str. 5 do 15. Rozdział ten ma największą wartość z całej pracy a autorowi należy się uznanie, że się podjął tego niezbyt wprawdzie trudnego, ale — jeśli się tak wyrazić wolno — nudnego i niewdzięcznego zadania. Kto po nim zajmie się tą samą kwestyą, będzie mógł podobno powołać się tylko na tę część jego rozprawy, niepotrzebując wznowiać polemiki z Mosbachem. Z tem wszystkim można i tu zarzucić autorowi brak potrzebnej precyzji, wobec którego nużące podjazdowe wycieczki przeciw drobnostkowym, mniej ważnym argumentom Mosbacha, osłabiają wrażenie głównych punktów argumentacji. Rozdział ten opiera się zresztą przeważnie na argumentach już dawniej, zwłaszcza przez Bielowskiego, użytych; zupełnie oryginalną jest tylko ciekawa bardzo uwaga o imieniu: Przemysław. P. Kr. wykazuje, że obydwaj Przemysławowie wielkopolscy występują w tej kronice bez liczb porządkowych, gdy tymczasem w pierwszej części kroniki, każdy niemal z licznych książąt udzielnych ma obok imienia liczbę porządkową. Gdyby zatem słowa

Premislio rege hodie regnante na początku kroniki odnosili się do Przemysława II, gdyby celem jej było uczczenie pamięci tego monarchy, byłby kronikarz prawdopodobnie jakimś epitetem lub liczbą porządkową odróżniał od bohatera owego jego ojca Przemysława I, którego dzieje większą część kroniki zajmują. Również zwraca p. Kr. po raz pierwszy uwagę na drobna wprawdzie ale charakterystyczną okoliczność, że w pierwszej części kroniki imię Przemysław odmienia się konsekwentnie według drugiej deklinacji (*Premislius-ii*), w drugiej zaś części przeważnie według trzeciej (*Premislo-onis*).

Prócz II rozdziału zasługują na uwagę jeszcze niektóre luźne spostrzeżenia w rozdziale V p. n. „W jakich ustępach kroniki dostrzedz się daje ręka kompilatora“, jakkolwiek ważny ten przedmiot nie jest tu dość wyczerpująco opracowanym. Zresztą cała rozprawa p. Krügera albo podaje znane już wyniki dotychczasowych badań, albo też traktuje przedmiot w sposób poniekąd wprawdzie oryginalny, ale — twierdzić musimy stanowczo — zupełnie niedostateczny i niewłaściwy.

Załatwiwszy się z zapatrywaniem Mosbacha, dochodzi autor „po kilkoletnich — jak nas zapewnia — studiach nad kroniką Boguchwałą i Godysławą“, do przekonania, że głównemi częściami składowemi tego dzieła, są wprawdzie kronika Boguchwałą i nieznana bliżej „literacka spuścizna“ (*literarischer Nachlass*) Godysława, że jednak całe dzieło w tej formie, w jakiej je dziś znamy, jest kompilacją z XIV wieku. Główną podstawą tego twierdzenia są niektóre ustępy kroniki, które między innymi Bielowski słusznie za późniejsze wtorety uważa, a które niewątpliwie pochodzą z XIV lub nawet z początku XV wieku.

„Druga część kroniki — twierdzi autor — zawiera wprawdzie zapiski Godysława, to jednak nie upoważnia nas do przypuszczenia, że Godysław kontynuował dzieło Boguchwałą. Od tego przypuszczenia powstrzymuje mnie nie tylko ta okoliczność, że jeszcze w przeszłym wieku istniał egzemplarz Boguchwałowej kroniki bez wiadomości „dziś z nią powiązanych“¹⁾, ale głównie przekonanie, którego nabyłem z niewielu wiadomości o życiu Godysława, że on nie mógł napisać miernej (!!) kontynuacji obcego dzieła. Trudno zaś wynaleść jakiś stanowczy argument przeciw memu twierdzeniu, że rozdziały naszej kroniki następujące po opowiadaniu o śnie Boguchwałą (cap. 89) pochodzą od jakiegoś nieuka odpisywacza (*von einem ungebildeten Kopisten*) z XIV lub XV wieku, który je po największej części wyjął z „pism historycznych“ Godysława i przyczepił (*angereiht*) do kroniki Boguchwałowej.“ Wyznajemy szczerze, że musielibyśmy zazdrościć zřeczności pisarskiej temu nieukowi odpisywaczowi, który tak umiał własną kompilacją połączyć z dziełem Boguchwałą, iż dziś niepodobna prawie się domyślać, w którym właściwie miejscu to dzieło się kończy, jak to sam p. Kr. na str. 16 przyznaje.

Autor podziela z Mosbachem zasadniczy błąd w zapatrywaniu się na tę kronikę, gdyż zbywa ogólną, niczem nie popartą, subiektywną hipotezę najważniejszą kwestyą, t. j. zawiły skład tego dzieła, a wysila się tylko na drobnostkowe rozmazywanie starych ponajwiększej części argumentów w sprawie autorstwa kroniki,

¹⁾ „Wiadomości“ te stanowią całą drugą część kroniki, która jako dokładny opis współczesnych dziejów największą bezwzględnie ma wartość.

w czem także subiektywna krytyka wyłączną prawie rolę odgrywa. Obaj autorowie zaniedbują z dziwną lekkomyślnością kwestyą źródeł, z których kronika czerpała, zapominając, że sumienne jej zbadanie najwięcej materiałów może dostarczyć do obiektywnej krytyki w sporze o to, kto był autorem dzieła. — Rozdział IV rozprawy pana Kr. (o źródłach kroniki Boguchwała) powtarza na dwóch stronicach najpowierzchniejszym sposobem ogólnie znane i powtarzane frazesy. Pomijamy to już, że autor mówiąc ogólnie o starych rocznikach i innych kościelnych zapiskach, z których Boguchwał czerpał, nie wyszczególnia najcenniejszych nieraz ustępów, które się niewątpliwie na takich zaginionych zapiskach opierają. Nikt nie rozstrzygnął jeszcze spornej kwestyi, czy pierwsza połowa kroniki Boguchwała jest wyciągiem z Wincentego, czy też z Mierzwy. Powszechnie już prawie na to się zgodzono, że kronika Mierzwy w tej formie, w jakiej ją dziś znamy, t. j. jako kronikarsko-annalistyczna kompilacja powstała pod koniec XIII wieku (prawdopodobnie w 9 dziesiątku). Gdyby się więc dało udowodnić, że pierwsza połowa kroniki Boguchwała i Godysława, sięgająca do początku wieku XIII, jest excerptem z Mierzwy a nie z Wincentego, byłby to najsilniejszy argument na poparcie twierdzenia Mosbacha, na który ten uczony dziwnym trafem uwagi nie zwrócił. P. Kr. „przekonał się z porównania i zbadania wiadomości wspólnych tym trzem kronikom, że ani Wincenty ani Boguchwał z Mierzwy nie korzystali, że przeciwnie kronika „Mierzwy jest wyciągiem z dzieł tych dwóch kronikarzy“ (str. 9). Proste takie zapewnienie bez dowodu nie może wystarczyć w monografii o kronice Boguchwała. Stosunek między temi trzema kronikarzami jest w istocie bardzo zawiły; w ogólności przeważa kongruencya Boguchwała z Wincentym, niektóre jednak ustępy dosłownie niemal zgadzają się z Mierzwą i na pozór przeważają szalę na korzyść twierdzenia Mosbacha. Nie upowadźnia nas to jednak bynajmniej do tego twierdzenia, które p. Kr. postawił. W wielu ustępach naszej kroniki znajdujemy tyle podobieństwa do tekstu Wincentego zarazem i Mierzwy, iż niepodobna przypuścić, żeby Mierzwa lub Boguchwał miał obydwie inne kroniki przed sobą i sztucznie tkał text swego dzieła, biorąc naprzemian pojedyncze wyrazy to z jednego to z drugiego źródła; szczególnie charakterystycznym jest w tym względzie cały 13 rozdział kroniki Boguchwała (*De Boleslao Effero*), również 7 rozdział, koniec 12 i 16 rozdziału, i druga część 20 rozdziału. Z sumiennego porównania tych trzech kronik przekonaliśmy się, że istniał niegdyś inny jakiś wyciąg z kroniki Wincentego, który zajmował pośrednie miejsce pomiędzy pierwowzorem a tekstem Mierzwy a z którego zarówno Boguchwał jak i Mierzwa korzystali. Żeby zbyt nie rozszerzać i tak już nadto obszernego rozbioru, zaznaczyć tu tylko musimy, że autor w ten sam sumaryczny sposób, a zatem również niedostatecznie przedstawia stosunek kroniki Boguchwała do innych źródeł, zwłaszcza do żywotu św. Stanisława.

Zupełnie pomija pan Krüger najważniejszą w tym względzie kwestyą, t. j. stosunek kroniki Boguchwała do roczników poznańskich z XIII wieku, wydanych w II tomie Sommersberga *SS. rerum Silesiacarum*, jakkolwiek tylko dokładne zbadanie tego stosunku może rzucić jasne światło na skład i sposób powstania tej kroniki. Przypomnieć wypada, że wydanie Sommersberga nie może wystarczyć do dokonania tej pracy, gdyż, pomijając już błędność edycji, mamy w niem tylko przedruk

jednego kodexu, oszpeconego licznymi opuszczeniami, które tylko przez porównanie z innymi kodexami uzupełnić się dają¹⁾; można jednak śmiało twierdzić, że nie załatwiwszy się z tą kwestyą, nie tylko niepodobna pisać monografii o kronice Boguchwała, ale nie wolno nawet głosu w tej sprawie zabierać. Muszę w tym względzie powołać się na zdanie, które nawiasem już w innym miejscu dawniej wypowiedziałem²⁾; od tego czasu miałem sposobność poznać bliżej niektóre kodeksy roczników poznańskich, co mnie tylko jeszcze bardziej w dawniej wypowiedzianem mniemaniu utwierdziło. W rocznikach tych — tak samo, jak w kronice — przemawia przed rokiem 1250 Boguchwał, po tym zaś roku Godysław w pierwszej osobie. Dokładne porównanie tych pomników pozwala na stanowczo, że roczniki poznańskie są pierwszym rzutem zapisków pod bezpośrednim wrażeniem wydarzeń notowanych, które w kronice przybrały bardziej zaokrągloną, artystyczną formę, że wreszcie kongruencya między tymi dwoma pomnikami inny ma poniekąd charakter przed r. 1250 a inny po tym terminie. Różnice między ich tekstami są w istocie właśnie takie, jakie mogą powstać tylko wtedy, jeśli sam autor powtórnie pracę swą przerabia. Wobec tego nie waham się twierdzić ponownie, że biskup Boguchwał brał pierwotnie sam udział w spisywaniu rocznika, a pod koniec życia napisał kronikę, łącząc wygładzone zapiski rocznikarskie z (drugorzędnym według mego zdania) wyciągiem z Wincentego. Kustosze poznańskiej katedry Godysław prowadził po śmierci biskupa († 1253) rocznik poznański, dopełniając zarazem w ten sam sposób kronikarskie dzieło Boguchwała.

Mimo „kilkuletnich studyów“ nie obeznał się p. Kr. należycie z literaturą, odnoszącą się do przedmiotu jego badań. Tak np. zapatrywanie Nehringa na kronikę Boguchwała zna tylko z pobieżnego cytatu Girgensohna, jak to zdradza konsekwentne przekreślenie tego nazwiska (Nahring), polegające na błędzie drukarskim w rozprawie Girgensohna o Długoszu. O stosunku zachodzącym między pojedynczymi rocznikami polskimi, ma także bardzo niejasne wyobrażenie, gdyż zadowolnił się tylko tem, co w tym względzie znalazł w dziele Zeissberga, który już dla samego założenia swej pracy nie mógł się zająć szczegółowym rozbiorem tego przedmiotu. *St. Sm.*

Ksawery Liske: Zjazd w Poznaniu w r. 1510. Kraków, 1875
Oobitka z III tomu Sprawozdań wydziału histor. filozof. Akademii Umiej. str. 161, 8vo.

208] W dodatkach do kroniki Polego, umieszczonej w V tomie *Scriptores rerum prussicarum* ogłosił wydawca jej dr. M. Toeppen reces zjazdu poznańskiego z r. 1510 znany już poprzednio z wyjątków podanych w Historii pruskiej Schütza. Reces ten jest wprawdzie urzędowym sprawozdaniem wysłanników Zakonu przełożonem przez Polego na język niemiecki, pomija jednak wiele rzeczy

¹⁾ Wszystkie kodexy kroniki Boguchwała i Godysława zawierają po kronice roczniki poznańskie pomieszczone z innymi rocznikami polskimi. W każdym kodexie znajdują się liczne opuszczenia w tekście roczników poznańskich; wobec kongruencyi, jaka między tymi rocznikami a kroniką zachodzi, kopieści przypominali sobie przy odpisywaniu roczników, że to samo już wyżej pisali i urywali często ustęp w połowie dodając: „etc.“ lub „ut supra patet.“

²⁾ Przewodnik naukowy i literacki. t. I, str. 887.

ważniejszych i zawiera liczne usterki, pochodzące już to z niedokładności w przekładzie, już też z tendencyjności tłumacza. Jako taki oczywiście nie może nam dać prawdziwego obrazu układów, prowadzonych w Poznaniu i tylko względną posiada wartość. Na szczęście zachowała się dotąd prawie współczesna kopia recesu polskiego z tegoż zjazdu. Prof. Liske odkrył ją w jednym z rękopisów Zakładu nar. im. Ossolińskich i wraz z rozprawą o zjeździe poznańskim ogłosił w Sprawozdaniach krakowskiej Akademii umiejętności, a zarazem w oddzielnej odbitce.

Na czele umieścił szan. wydawca bardzo staranny i szczegółowy opis manuskryptu, który prawdopodobnie jest kopia z oryginału, sporządzoną pod kierunkiem Stanisława Górskiego. Prof. Liske wnosi to z poprawek, umieszczonych w rękopiśmie, nader żywo przypominających charakter pisma Górskiego, jego własnej wzmianki w Tomicyanach, że „akta“ układów poznańskich złożył w skarbcu królewskim i uderzającego podobieństwa niektórych ustępów w recesie i w zapiskach Górskiego. Z porównania obydwóch recesów wynika, że polska redakcja pod wieloma względami nierównie obfitsze podaje wiadomości, niż niemiecka, choć również pewne zawiera niedokładności i że obydwie nawzajem się uzupełniają.

Wykazawszy w ten sposób wartość obydwóch recesów, przechodzi autor do krytycznego ocenienia źródeł do historii zjazdu. W rozbiórce tym jasno wykazuje ich wzajemny stosunek i w ogóle trafia ich daje charakterystykę z wyjątkiem Górskiego i Decyusza. Pierwszego z nich niedość wysoko podnosi, przyznając natomiast wyższość Decyuszowi, jakkolwiek naszym zdaniem nie Decyusz lecz Górski jest po recesie głównym źródłem do historii tych wypadków. Oto własne słowa szan. autora: „Wiadomości, które nam Decyusz o zjeździe tym podaje, są tak dokładne, wiarogodne i ścisłe, że przewyższają nietylko to, co nam nasi, a tem więcej to, co nam obcy kronikarze podają“ (str. 20). Ze zdaniem tem zgadzalibyśmy się tylko co do wstępnych układów, prowadzonych w Krakowie. Ale o samym zjeździe podaje Decyusz tylko ogólnikowe, niedokładne a poniekąd mylne wiadomości, mięsza zadania reprezentantów pruskich z propozycjami wysłanników Maksymiliana i nie zna nawet nazwisk posłów cesarskich i zakonnych, a w części także reprezentantów polskich. Czyż wobec takiego przedstawienia rzeczy można Decyuszowi przyznać pierwszeństwo, zwłaszcza przed relacją Górskiego, na dokładnych polegająca informacjach i prawdopodobnie — jak sam autor słusznie wykazuje (str. 33) — na samym opierającą się recesie?

W rozprawie o zjeździe poznańskim znajdujemy historią tych układów, przedstawioną w sposób wyczerpujący. Autor korzystał z wszelkich dostępnych nam źródeł, polskich, pruskich i niemieckich i zużył wszystko, cokolwiek tylko mogło rzucić pewne światło na usposobienie i zamiary stron układających się i pośredników. Epizod ten z historii zatargów między Polską a Zakonem możemy też uważać po niniejszej pracy Prof. Liskego za zupełnie wyjaśniony.

Drugą część tej publikacji zajmuje reces zjazdu w redakcji polskiej. Ponieważ zawiera on również pewne niedokładności, podał szan. wydawca w przypiskach ustępy z tłumaczenia Polego, nie znajdujące się w recesie polskim, jakoteż wzmianki redakcji niemieckiej. Nadto umieścił liczne objaśnienia, które ułatwiają zrozumienie tekstu i w ogóle użycie tego źródła.

Wydanie recesu odznacza się wielką starannością i ścisłym zastosowaniem się do dzisiejszych wymagań nauki, niestety tak rzadko zachowywanych przez naszych wydawców, a zalety te jakoteż wyczerpujące przedstawienie zjazdu stawiają publikację niniejszą w rzędzie najcenniejszych prac, ogłoszonych w pismach naszej Akademii.

A. H.

Archeologia i sztuka.

Napoleon Orda: Album widoków gubernii Grodzieńskiej, Wileńskiej, Mińskiej, Kowieńskiej, Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej. W dwóch seryach zawierających 80 widoków, przedstawiających miejsca historyczne z czasów wojen tureckich, tatarskich, krzyżackich i kozackich, oraz przedhistoryczne, jako to: mogiłę Perypiatychy, zamek Mamaja w Bukach itp., również stare ruiny zamków obronnych i piękne rezydencje, świadczące o przeszłości i cywilizacji tego kraju, rysowane z natury przez Warszawa. Litografia Fajansa Maxymiliana. 1875.

209] Niemalą przysługę krajowi zrobił pan Napoleon Orda wydawnictwem swego Albumu. Gorącej zaprawdę trzeba było miłości ojczystej ziemi, by powziąć zamiar o tak szerokiej skali, i wykonać go wśród warunków miejscowych. Jeżeli zatem słuszną jest przyklasnąć tak znacznej myśli, uczynić należy to tem więcej, że spełnienie jej nie mogło przyjść bardziej nam w porę. Dość powiedzieć, że autor daje nam, lub dać zamierza, jak to tytuł Albumu zapowiada, szereg obrazów kraju, od Dźwiny do Prutu; kraju, jakim były do niedawna północno- i południowo-zachodnie gubernie Cesarstwa Rosyjskiego.

Pielgrzymkę swą artystyczną skierował szczególnie p. Orda, jak to sam tytuł zapowiada, ku miejscom pamiętnym w dziejach. Starożytnie więc zamki, których resztki, gdzieniegdzie podtrzymywane jeszcze ocalały, jak niemniej kościoły, świadectwa nastroju ducha przodków, zwracały jego uwagę przedewszystkiem. Za tem poszły rezydencje, pałace, dwory, jako świadectwa dostatku i cywilizacji. Żałować tylko wypada, że nam dotąd nie dał wśród rezydencji w nowszym smaku wzniesionych, dawnych modrzewiowych dworów, które acz rzadkie już dzisiaj, jednak ocalały gdzieniegdzie, by dać świadectwo o niemniej wykwintnym smaku wieków przeszłych oraz o ich zamożności. Nie spotykamy też chaty wieśniaczej, a która tak odmienne ma cechy w różnych prowincjach kraju, że dość tylko wspomnieć Ukrainę, Podole, Polesie, Litwę. Braknie też dworów szlacheckich, czyli jak na Litwie zowią: okolicy szlacheckiej, której charakter tak niedawno jeszcze wybitny zaciera się z dniem każdym z upadkiem zagrodowej szlachty. Byłby to zupełny obraz żywota stron owych w całej rozciągłości jego społecznej gammy. W dalszym ciągu tak pożądanego wydawnictwa, Litwa, której się zaledwie dotąd autor dotknął, nastęrczyć by mu mogła niemało w tym względzie motywów. Dość wspomnieć okolice Kowieńskie, brzegi Wilii, Niemna, Niewiaży i Dźwiny; dość wspomnieć ziemię Nowogródzką, kolebkę Mickiewicza, Czeczota, Zana, Rejtana, Syrokomli; ów grunt, na którym się urodził pan Tadeusz, ta jedyna najznakomitsza nasza epopeja szlachecka.

Co do wykonania, przyznać należy, iż w większej części wywiązał się autor z zadania znakomicie. W obra-

niu przedmiotu, w akcesoryach, snać zawsze i wszędzie smak wykształcony, któremu wtórują znajomość rysunku, tak co do perspektywy jak i światłocienia, tych niezbędnych warunków krajobrazu. Gdy zaś mu się zdarza robić widok znanej już z innych publikacji miejscowości, umiał ją zawsze z nowej strony korzystnie przedstawić, jak to ma miejsce, wśród innych, w widokach Ostroga, Kamieńca, Kijowa. Zdarza się wprawdzie w niektórych widokach spotykać rysunek drzew pobieżny, zdradzający manierę, z uszczerbkiem natury, lecz to przedzej na karb litografii policzyć należy, niż posadzać autora o lekceważenie rysunku. Za to, jakże piękne i pełne prawdy: Wydobycki Monastyr, Buki nad Rastawicą, Cecora, Kamieniec, Żwaniec, Sutkowce, Taykury, Korzec, Hubków, Wiszniowiec, Począjów, Ostróg. Najmniej się udało widoki Wilna, których dotąd zaledwie jest dwa, a i te prawdopodobnie nie robione z natury i naodwrot przedstawione. Błąd ten spotyka się i w innych widokach Albumu, mianowicie w widoku Dubna, Łatyczowa. Wina w tem zapewne litografa, który rysując na kamieniu, nie uwzględnił, iż rysunek jego kopiowany z oryginału winien być być zrobiony naodwrot, aby po odbiciu mógł być widzianym jak jest w naturze. Zresztą litografia warszawska Max. Fajansa, nie od dzisiaj już zaszczytnie w świecie sztuki znana, przekonywa nas i tym razem, że w podobnych publikacjach możemy się obejść bez pomocy obcych, i coraz więcej liczyć na własne siły.

Stosunek liczby widoków podług prowincyj następny: gubernii Kijowskiej 25, gub. Podolskiej 16, ze stepów Bessarabskich 1, gub. Wołyńskiej 21, Mińskiej 6, Grodzieńskiej 9, Wileńskiej 3.

Widać zatem, iż autor swą artystyczną pielgrzymkę zaczął od kresów południowych kraju, gdyż Litwy zaledwie się jeszcze dotknął, na Żmudź i Inflanty wcale nie zajrzał. Cieszymy się więc nadzieją ujrzenia dalszych seryj Albumu, gdzie autor da nam ujrzeć rodziną jego Litwę, która tyle nowych motywów i uroczych dotąd przechowywała.

Rysunki Albumu wykonane *à deux crayons* na papierze chińskim, w formacie małego folio, opatrzone u spodu objaśnieniem w języku polskim i francuzkim odnoszącym się przeważnie do miejscowości historycznych.

Nie pierwsza to u nas publikacja tego rodzaju zjawia się w dziedzinie sztuki, ale zato jedyna z tego względu, że najobszerniejsza co do swego zakresu, a zarazem najprzystępniejsza dla ogółu co do ceny. Mielśmy wspominać wydanie Albumu wileńskiego, staraniem Dra Wilczyńskiego, obejmujące widoki i wizerunki litewskie, na które się składali niepospolici artyści, jak np. Michał Kulesza, Marcin Zaleski, Sadownikow, Kukiewicz; lecz to zbyt kosztowne z powodu litografij wykonywanych, u Lemercier'a w Paryżu, i wielkiego formatu, zaledwie dostępnem było szczerpemu kołu amatorów. Zjawiła się za nim znakomita Tekla Kuleszy, z widokami Podola i Wołynia, lecz brak funduszy przerwał jej dalsze wydanie. Mamy wyborne widoki Krakowa i jego okolic Głowackiego, — gmachy Krakowa znakomitego Strobanta, — widoki polskie Vogla, — Album lubelskie Lerac'a, — widoki Puław Richtera, — Album Kijowa Belier'a, — Galicya w obrazach wydana u Pillera i wiele innych obrazów kraju, mniejszej lub większej wartości; żadne jednak zakrojem swym w przestrzeni objętej kraju, niedorównują wydawnictwu p. Ordy. Co zaś najbardziej podnosi jego wartość, to iż, jak powiedzieliśmy na początku,

udało się autorowi wśród okoliczności, które miały zmniejszyć postać kraju, przebiedz go wzdłuż i w szerz z ołówkiem w rękę, i z niepospolitym talentem uchwycić kilka rysów pełnej jeszcze życia i charakteru fizjonomii. I dla tego słusznem byłoby i pożądanem, aby się ta publikacja znalazła nie tylko w rękach miłośników sztuki i w zbiorach publicznych, lecz by się upowszechniła w prywatnych domach, gdzie się szanuje przeszłość i pielęgnuje jej miłość.

E. P.

Nauki prawne.

Walenty Dutkiewicz: O znaczeniu jurysprudeneyi. Warszawa 1875, str. 49, jako zeszyt 6 seryi II. Biblioteki umiejętności prawniczych.

210] „Trzeba szukać światła, zkańkolwiek się zaczerpnąć daje. Czytać prace przygotowawcze do kodeksu — motywa do prawa odsłaniają nam prawdziwą myśl prawodawcy. Rozpatrywać się w jurysprudeneyi; przez rozstrzyganie praktycznych przypadków, najlepiej się prawo poznaje. Czytać gruntownych autorów francuzkich, prawo cywilne wyjaśniających. Ale pamiętać zawsze należy, że tylko w kodeksie jest prawo pisane. Tekst prawa trzeba studyować. Tu się znajduje niewyczerpana kopalnia, którą zużytkować należy.“

Temi słowy odzywa się b. dziekan wydziału prawa w b. szkole głównej do młodych prawników na końcu swojej rozprawy, w której położył sobie za zadanie, ażeby młodzież tę z drogi ślepej rutyny o ile możliwości sprowadzić, a do samoistnego badania prawa pobudzać. Autor rozberra kwestyę t. z. jurysprudeneyi tj. praktyki sądowej i prejudykatów przez praktykę tę wytwarzanych, kreśli następnie znaczenie tych prejudykatów w dawniej Polsce, we Francyi, w księstwie Warszawskim, w królestwie Kongresowem, Galicyi i Poznańskim. Wykazuje tu mianowicie p. D. na podstawie przepisów kodexowych, że dzisiejsze ustawodawstwa nawet wyrokiem najwyższych instancyj nie przyznają znaczenia obowiązujących prejudykatów, dowodzi na licznych przykładach, że instancyje te w Król. Polskim częstokroć mylnie wydawały orzeczenia i od zapatrywania swego same później odstępowaly — dla dobra rzeczywistej nauki i rozwoju prawa. Krytycznie więc na orzeczenia chociażby najwyższych instancyj należy się zapatrywać, a dopatrzwszy się błędu, śmiało ze swoim zdaniem wbrew najbardziej utartej rutynie sądowej wystąpić.

Nie potrzebujemy dodawać, jak dalece głos p. D. podniesiony w tej kwestyi z naszym przekonaniem licuje. Znaczenie jego powinno być tem większe, że do śmiałej inicjatywy daje pobudkę jeden z weteranów naszego prawnictwa na podstawie długoletniego doświadczenia i studyów. Pod względem formy rozprawa p. D. grzeszy pewną niejednolitością, gdyż ciągle przykłady ściśle pod pewne zasadnicze myśli niepodporządkowane rozrywają uwagę czytelnika, a dla właściwych wywodów autora zbyt mało pozostawiły miejsca. Na tem szczerpłym miejscu niemógł też autor poruszyć wielu kwestyj, które z głównem pytaniem stoją w najściślejszym związku i dopiero je w należytem mogą postawić światło. Ze orzeczenia najwyższych instancyj i praktyka sądowa niejest obowiązującym prawem, o tem wiedzą dobrze nasi praktyczni prawnicy, ale brak należytego teoretycznego wykształcenia i zacofanie na polu umiejętności czynią ich niewolnikami formułek i utartej praktyki. Poruszona więc przez p. D. kwestya

wychodzi nato, że rozwój prawa i sądownictwa naszego zależy ostatecznie od lepszego wykształcenia młodzieży zawód prawa obierającej, od połączenia z praktyką umiejętności teorii. Popchnąć młodzież naszą na drogę tę, może najpierw czytanie się w kazuistyczne źródła prawa rzymskiego, z których nabrać może najlepiej bystrości i ścisłości prawniczej, oraz lepsze obznajomienie się z historycznym rozwojem prawa, bez czego żaden prawnik nie może obrać sobie pewnego stanowiska w swojej działalności i pracy prawniczej. Wnikać w istotne znaczenie ustaw i prawo dalej rozwijać można tylko na podstawie gruntownej umiejętności; kto umiejętności tej nie jest panem, ten lepiej może robić, trzymając się utartej praktyki, niż żeby miał silić się na rzekomo oryginalną a w gruncie rzeczy płytką i samowolną interpretację przepisów ustawodawczych. R.

Matematyka i fizyka.

Nauka o ziemi i ciałach niebieskich, tudzież o atmosferze ziemskiej. Praca uwieńczona nagrodą przez Towarzystwo oświaty Wielkopolskie. Poznań. Żupański 1875. str. 99, 8-vo.

211] W części pierwszej autor podaje zwięzłe i popularnie wiadomości o ciałach niebieskich. Autor zanadto pobieżnie tłumaczy nierówność dni i nocy w różnych porach roku (str. 25), nie wyjaśnia wcale przypływu i odpływu morza (str. 35), a mówiąc o kometach (których naliczył niewiadomym sposobem milion, chociaż dostrzeżono dotąd tylko kilkaset) nie wspomina nic o ciekawych teoriach Tyndalla i Zöllnera. Niewłaściwie też autor siłę przyciągającą między ciałami niebieskimi nazywa ciężkością, siła ta bowiem nosi nazwę powszechnego ciążenia; siła ciężkości znaczy tylko przyciąganie, które ziemia wywiera na ciała na niej się znajdujące. Ziemia przy biegúnach nie jest też wklęsłą, ale tylko spłaszczoną.

Część druga niniejszego dziełka, zawiera rzecz o atmosferze ziemskiej i zjawiskach w niej zachodzących.

Tu autor daleko gorzej wywiązał się ze swego zadania, niż w części pierwszej. I tak autor nie wyróżnia ciśnienia powietrza od jego ciężaru (str. 65). Na str. 67 jest powiedziano, że działanie ciepła jest dwójakie: najprzód sprawia ono, że ciało się rozszerza, czyli, że powiększa swoją objętość; powtóre, że zmienia swój stan skupienia czyli ze stałego staje się płynnym, a z płynnego lotnym. Autor zapomniał, że ciepło także podnosi temperaturę ciała, i że zamiana stanu skupienia sił, odbywa się tylko przy odpowiednich temu warunkach. Na str. 68, autor czyni ciekawe odkrycie; że w sklepach latem i zimą panuje zawsze jednaka temperatura. Na str. 70 jest niedobrze wytłumaczona przyczyna oziębienia się powietrza w górnych warstwach atmosfery. Na str. 71 i 72 zjawiska tak ciekawego jak rosa, autor prawie nie wyjaśnia, a odróżniając gaz wodny od pary wodnej, całe to zjawisko przedstawia w strasznie bałamutny sposób. Przy gradzie str. 77 godziło się wzmiankować o teorii Nöllnera. O wiatrach (str. 78—84) autor mówi za mało, a nie wspomina o prądach wodnych w morzu. Rzecz o elektrycznych zjawiskach w atmosferze (str. 85—89) jest bardzo słabo traktowana, autor nawet zdaje się nie wiedzieć, że elektryczność jest dwójaka, dodatna i ujemna, a przecież wszystkie zjawiska elektryczne w atmosferze głównie zasadzają się na łączeniu się tych dwóch

elektryczności ze sobą. Trąby morskie i lądowe (str. 90) nie wiadomo z jakich powodów autor liczy do meteorów ognistych. Tak piękne zjawisko, jak zorza północna nawet nie jest dokładnie opisane. Powstawanie tęczy (str. 95) też jest niedostatecznie wyjaśnione, dla czego np. tęcza nie zawsze pojawia się i dla czego przedstawia się w postaci łuku kołowego, nie autor nie mówi. Błędnie też autor utrzymuje, że druga tęcza jest odbłaskiem pierwszej, powstawanie drugiej tęczy ma bowiem podobne przyczyny co i pierwszej.

Co do języka, to nie mamy nic do zarzucenia autorowi. Dzieło to jednak, chociaż uwieńczone nagrodą przez Towarzystwo oświaty Wielkopolskie, musimy uznać za nieodpowiadające swemu celowi, popularyzowania wiedzy, ponieważ zawiera w sobie wiele błędnych pojęć, należałoby przynajmniej go w części drugiej znacznie przerobić. Niech nasi popularyzatorowie wezmą sobie za wzór prace Tyndalla np. Ciepło (przetłumaczone na polski język przez Masłowskiego), niech starają się równie gruntownie i jasno przedstawić zjawiska przyrody a dopiero wówczas mogą się spodziewać pożytecznych owoców ze swjej pracy; w przeciwnym razie praca ich zwykle więcej przynosi szkody niż pożytku. E. S.

W. Zajączkowski: O całkach osobliwych, zwyczajnych równań różniczkowych rzędu jakiegokolwiek. (Pamiętnik Akademii Umiejętności. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tom I. Kraków 1874. 4-to, str. 45—56.)

212] Od lat kilku Prof. Z. pracuje nad równaniami różniczkowymi i przygotowuje wykład nauki o nich, jaki niezadługo ma wyjść nakładem biblioteki Kórnickiej. Od czasu jednak do czasu, pan Z. publikuje oddzielne swe prace w tej gałęzi rachunku nieskończonościowego, choć te prace nie zawsze bywają jednakowej wartości. To też podczas gdy o pracy zamieszczonej w Pamiętniku Tow. Nauk ścisłych wypadło nam niedawno wydać sąd niezbyt korzystny (p. N. 12 Przegl. Kryt.), to o pracy pomieszczonej w „Pamiętniku“ Akademii, całkiem inaczej wypadnie się wyrazić. W niej naprzód pan Z. dwoma sposobami wyprowadza rozwiązanie osobliwe danego równania różniczkowego z jego całki zupełnej. Zwięzły ten, a jasny wywód, zaleca się jeszcze elegancją i prostotą, oraz trafnie dobranym przykładem. Dalej p. Z. wyprowadza rozwiązanie osobliwe danego równania różniczkowego przy pomocy jego całki pierwszej, t. j. równania różniczkowego o jedność niższego rzędu, niż dane, i z jedną stałą całkowania — a to bez uprzedniej znajomości jego całki zupełnej. Otrzymane przytem warunkowe równania, poddane zostały troskliwemu roztrząsaniu. Potem pan Z. wykłada sposób wyprowadzenia rozwiązania osobliwego, bezpośrednio z samego równania różniczkowego, bez pomocy jego całek, tak zupełnej, jak i pierwszej, przytem Lagrange'owskie warunki poddaje dyskusji i uzupełnia, według wskazówki jaką miał już daną przez De Morgan'a dla równań różniczkowych rzędu pierwszego. Pracę tę kończy kryterium dla odróżnienia rozwiązania osobliwego od całki szczególnej, które autor otrzymuje, jak sam mówi, tylko „uogólniając pewne twierdzenie Boole'a, dowiedzione jeszcze pierwej przez Cauchy'ego. Widzimy więc, że choć nie cechuje tej pracy żadna nowa idea zasadnicza, jednakowoż wnosi ona rozprzestrzenienie znanych metod na równania różniczkowe wyższych rzędów i częściowo uzupełnia dotychczasowe w tym kierunku badania. Dodajmy, że nader

zręczny układ tej pracy, oraz przeprowadzenie rzeczy, mimo zwiezłości, zalecające się jasnością, powiększają wartość tej, dla samej treści już cennej pracy.

M. A. B.

Nauki przyrodnicze.

August Wilhelm Hofmann: Wstęp do nowoczesnej chemii, tłumaczył z piątego wydania niemieckiego Ludwik Maślowski. Kraków. Nakładem Dygasińskiego. 1875. str. 267 i VIII. 8vo.

213] Szczególny i nader szczęśliwy sposób wykładu i badania, który w ogóle cechuje wszystkie prace naukowe berlińskiego profesora Hofmanna sprawił, iż dziełko: *Einleitung in die moderne Chemie* przyjęto w całym świecie uczonym bardzo przychylnie, co więcej, iż znalazło się ono wszędzie, gdzie czytają, jako popularny i pożądaný przewodnik w tym ogromnym świecie chemicznym, Wydawnictwo biblioteki umiejętności przyrodniczych, które postawiło sobie zadanie zaznajamiać w przystępny sposób czytającą publiczność z rezultatami badań przyrodznawstwa, dało niniejszym przekładem nowy dowód, iż z zadania swego potrafi się wywiązać. Dzieło p. Hofmanna spolszczone wypełnia prawdziwą lukę w naszej literaturze chemicznej, spełnia gorące życzenia czytającej publiczności.

A teraz słów kilka o przekładzie samym. Wytknijmy naprzód nieliczne ujemne strony, abyśmy zakończyli tém swobodniej na licznych dodatnich. Tłumaczeniu p. Maślowskiego zarzucamy głównie 1) iż zapożycza się bardzo często u obcych języków (zwłaszcza łacińskiego) wzbudzając w czytelniku niczem nieuzasadnioną obawę, jakoby nasz język nie posiadał dostatecznej ilości wyrazów umiejętności; 2) iż zawiera niekiedy zwroty zupełnie niepoliskie, które tylko przypominają czytelnikowi, iż ma z tłumaczeniem do czynienia. — Co do pierwszego musimy w celu usprawiedliwienia się podnieść, iż nie hołdujemy puryzmowi, tj. całkowitemu rugowaniu obcych wyrazów z naszego języka, a to głównie z powodu, iż wiele z nich już się utarło, innych zaś nie zastąpimy swojskimi, bez obrażenia ducha polszczyzny. Z drugiej jednak strony sprzeciwiamy się stanowczo wprowadzaniu dowolnemu wyrazów obcych (choćby i łacińskich), skoro tę samą myśl możemy oddać równie dobrze a często lepiej w wyrazach polskich. — Dowolności tej dopuszcza się p. Maślowski, jak się zdaje, z szczególniejszym zamiłowaniem. Przytaczamy niektóre przykłady:

Na str. 27 (w. 6 z góry) czytamy: „ustawimy dwa cylindry... jeden w *pozycji* naturalnej, drugi w *pozycji* odwrotnej”. Dlaczego nie „w *położeniu* naturalnem i w *położeniu* odwrotnem”?

Wyrazy: *weryfikować*, *weryfikacja*, *weryfikator* itd., które tak często spotykamy, dają się zastąpić bez najmniejszej szkody wyrazami: *sprawdzać*, *sprawdzenie* itd.

Na łaciński wyraz: *absorbeyca*, *absorbować*, *absorbować* posiada nasz język bardzo piękny, nadto w słownictwie chemicznem utarty wyraz: *pochłanianie*, *pochłaniać*, *pochłonięty* itd.

Łacińskie *respective* przyjęte w języku niemieckim nie wymaga przekształcenia w „*respektywnie*”, jak to czyni tłumacz, wszak mamy bardzo dobry wyraz polski „*względnie*”.

Na str. 98 w. 13 z góry czytamy: iż nie znaleźliśmy dotychczas klucza do właściwego ich (faktów) interpretowania — lepiej byłoby „tłumaczenia” lub „pojaśnienia”.

Termin używany w słownictwie niemieckim „*deriviren*, *Derivate*”, równa się polskiemu *pochodzić*, *wyprowadzać związki pochodne*. Zamiast „wprzód, kiedyśmy wyprowadzali amoniak i trójhlorek azotu z kwasu chlorowodowego, obecnie zaś przy *derywacji* kwasu azotowego z wody” (str. 176 w. 7 z dołu) możemy bez szkody treści powiedzieć: „obecnie zaś przy *wyprowadzeniu* kwasu azotowego z wody”.

Również niepotrzebnym byłby zwrot na str. 257 w. 13 z góry „w sprawie *segregowania* chemicznych związków na działy naturalnych grup”. Tę samą myśl wyrazić można nierównie prościej, np. w sprawie rozdzielania związków chemicznych na naturalne grupy.

Nareszcie trudno nam zrozumieć, dlaczego nie spotykamy się nigdzie z wyrazem czysto polskim „*drobina*”, natomiast czytamy często „*molekuła*, *molekularny*” itd. Przecież łaciński ten wyraz, choć go przyjęto w niemieckim języku, możemy doskonale spolszczać, gdyż wyraz „*drobina*” oddaje myśl tę samą i już oddawna przyjęty jest w słownictwie chemicznem polskiem.

Oto główne przykłady odnoszące się do zarzutu pierwszego z dwóch, któreśmy powyżej uczynili. Podnieśliśmy je głównie dlatego, iż wiemy jakie niedogodności sprawiają podobne latynizmy w kołach nieobeznanych z łaciną.

Przystępujemy do drugiego zarzutu:

Na str. 72 w. 4 z góry czytamy: „możemy bowiem do tych kwadratów wpakować symbole innych jeszcze zjawisk”. Czyżby brakło tłumaczowi wyrazu stosowniejszego? Czyż musiał użyć wyrazu tak trywialnego, jakim w tym wypadku jest wyraz *wpakować*?

Na str. 97 w. 9 z góry: zamiast: „Kiedy porównując szeregi formułek podnosimy je do *godności* klasyfikacyjnego czynnika”, należałoby raczej powiedzieć do „*znaczenia* lub *wartości* klas” etc.

Często używa szan. tłumacz wyrazów „*wtłaczać*, *wtłaczać*, *wtłaczanie*”. jednakowoż dość niestosownie, niezgodnie ze znaczeniem, jakie słowa te w sobie zawierają. I tak np. str. 117 w. 8 z dołu: „wypada nam tedy pojęcie ciężaru połączeniowego rozszerzyć w ten sposób, aby w nie *wtłoczyć* ciężar połączeniowy wodu” (raczej, aby niem objąć etc.), lub na str. 250 w. 3 z dołu: „*wtłoczyliśmy* między wodą i amoniakiem a ostatecznymi rezultatami ich rozkładu owe pośrednie trzeciorzędne związki” (raczej, umieściliśmy etc.).

Zwrot: „możemy już wyłonić się po za dawne granice związków wodu” str. 120 w. 1 z dołu, wydaje nam się cokolwiek niewłaściwym. Czyż nie możnaby powiedzieć: „możemy już wyjść z ciasnych granic etc.”

Na str. 161 w. 14 z góry czytamy: „W uprzednim wykładzie usiłowaliśmy założyć fundamenta pod gmach, którego wyższe piętra były rezultatem chemicznych badań uszykowanych w systematyczne kadry”. Wyrażenie to brzmi trochę ociężale, mimowolnie odczuwa się w niem ton urzędowego tłumaczenia. Po cóż używać takich pleonastycznych omówień, skoro takowe nie przyczyniają się ani do jaśniejszego przedstawienia rzeczy, ani też nie można ich uważać za piękną figurę stylistyczną. Równie dobrze a może lepiej byłoby „systematycznie uszykowane”.

W słowach na str. 179 w. 6 z dołu: „każda hipoteza dopóty tylko korzyść przynosi, dopóki na *zimno* rozważana” etc., odgadujemy myśl, którą chce szanowny tłumacz wyrazić, lecz nie możemy zataić lekkiego uśmiechu, jaki hipoteza „rozważana na zimno” w nas pobu-

dziła. Możeby lepiej było powiedzieć „krytycznie rozbie-
rana“.

Całkiem niewłaściwem wydało się nam wyrażenie na
str. 180 w. 7 z góry: „na ten cel weźmiemy znowu
w obroty ciało znane nam z codziennego życia“. Stoso-
wniejszem byłoby wyrażenie: „zwróćmy znowu uwagę
nasze“.

Oto główne usterki w przekładzie niniejszym.
Zebraliśmy je na czele niniejszego przeglądu głównie
dlatego, aby tem więcej uwzględnić dodatnie strony tłumaczenia, których na każdej karcie spotykamy wiele, a wobec których strony ujemne prawie nikną. Język piękny, potoczny, zastosowany do zrozumienia początku-
jących w nauce, sprawia, iż dziełko całe czyta się bez najmniejszego znużenia: czytelnik ciekawy (gdyby dziełko
niniejsze miało tylko zaspokojenie ciekawości na celu) może odczytać je z wielką przyjemnością w ciągu kilku godzin, a przewróciwszy ostatnią kartę, uczuje jakieś niezadowolenie, iż tak prędko się skończyło. Ale też na tem skończyć nie powinien czytelnik: światły autor żąda od niego wynagrodzenia za sprawioną przyjemność, a tem wynagrodzeniem ma być — według woli autora — dalsza praca czytelnika na polu nowoczesnej chemii.

Co się tyczy strony zewnętrznej, należy podnieść, iż wydanie dziełka tego jest odpowiednie, takie, na jakie za tę cenę zdobyć się można, a mianowicie przyjemnie uderzają: 1) udatne rysunki, a 2) prawie zupełny brak pomyłek drukarskich, które tak często zniechęcają czytelnika, a których zwłaszcza w dziełach chemicznych tak trudno uniknąć.

Autor wypowiedział, jakiej nagrody za swoją pracę wymaga. Tłumacz, p. Masłowski, może zbyt skromnie, o nagrodzie dla siebie nie wspominał. Tembardziej należy nam podnieść, że i jemu się ona należy, nagroda jak najszerzego rozpowszechnienia dzieła tak pożytecznego, posiadającego wszelkie możliwe zalety. Pragneli-
byśmy też je ujrzyć w rękach ogółu czytającej publiczności, ludzi fachowych i niefachowych zarówno; a szczególnie pragneliśmy ujrzyć je w ręku nauczycieli szkół średnich jako podręcznik przy ich wykładach, i w ręku młodzieży dojrzalszej, która dotychczas niestety — jak to wiemy z doświadczenia — posiada zaledwie jakieś bardzo niejasne pojęcie o istocie i zadaniach chemii.

E. B.

J. Rostafiński: Quelques mots sur l'*Haematococcus lacustris*
et sur les bases d'une classification des algues Chlorosporées
Mémoires de la Soc. d. sc. nat. de Cherbourg. T. XIX. 1875,
str. 137—154.

214] W naukach ścisłych zwykła to kolej rzeczy, iż prace mniejszych rozmiarów więcej się przyczyniają do postępu wiedzy aniżeli grube dzieła; dla tej przyczyny summa pism pozostałych po najznakomitszych filarach nauki, częstokroć dobrego tomu nie stanowi. Do tego rodzaju ważnych prac a szczupłej przytem objętości należy i ta, którą nam teraz podnieść wypada, ponieważ zawiera ona ulepszenie klasyfikacji wodorostów zielonych, oraz nowe a ciekawe fakta dotyczące się rozmnożenia dwóch, chociaż pospolitych, ale dotąd niedokładnie zbadanych wodorostów.

Podjęrzuwano już wprawdzie, że *Chlamydococcus* *pluvialis* (*lacustris*) i *Haematococcus* *nivalis* są jedną i tą samą rośliną, lecz były to tylko przypuszczenia na niczem nieoparte, chyba tylko na ich zewnętrznym podo-

bieństwie. Autor dowiódł swemi doświadczeniami, że *Chlamydococcus* żyć może na topniejącym śniegu, a mróz mu śmierci nie zadaje; na zasadzie więc tych doświadczeń, oraz badań i rysunków Prof. Schimpera, dotyczących się *Haematococcus* a i dotąd drukiem nieogłoszonych, p. R. postawił na stopie pewnika twierdzenie o tożsamości tych dwóch wodorostów. Autor nazywa tę istotą: *Haematococcus lacustris*, czyniąc tem zadość prawom pierwszeństwa w nadawaniu nazwisk.

Zagadkową dotychczas była czynność małych pływeczek (*Microzoosporae*) tego wodorostu, które odkryli Braun i Cohn. Autor potrafił je hodować przez pewien przeciąg czasu; pokazało się, że te pływeczki po przyjsięciu do spoczynku powiększały się stopniowo, aż narreszcie doszedłszy objętości zwykłych komórek spoczynkowych, wytwarzały po cztery zwykłe pływki (*Macrozoosporae*). Upada więc przypuszczenie płciowości tych małych pływeczek a więc i całej rośliny, ponieważ duże pływki są także bezpłciowe, jak to autor wykazał już przed czterema laty, obalając tem samem przeciwnie twierdzenie Veltena.

Większej doniosłości niż badania przytoczone, jest wzmianka o odkryciu zapłodnienia w *Botrydium argillaceum*. Według p. R. hypnosporę tego wodorostu powstają wprawdzie zupełnie bezpłciowo, lecz same wytwarzają potem płciowe pływeczki, które to ostatnie łączą się z sobą i dają już bezpośrednio początek nowej roślince. Gorąco życzymy, aby autor co najrychlej zechciał ogłosić te nader ciekawe odkrycie ze szczegółami i rycinami odpowiedniami.

Przy klasyfikacji zielonych wodorostów, autor wyłączenie się opiera na objawach aktu płciowego u tych roślin; rodziła więc je na cztery następujące grupy:

1. *Conjugatae*, u których przemiana pokoleń nie istnieje, a akt płciowy zasadza się na połączeniu nieruchomej zawartości dwóch zupełnie do siebie podobnych komórek. Tutaj więc należą rodziny: *Mesocarpeae*, *Zygnemaceae* i *Desmidiaceae*.

2. *Isosporae*, posiadające płciowe pływki większych lub mniejszych rozmiarów, które się łączą po dwie (czasem i więcej) i tworzą hypnosporę lub też bezpośrednio młodą roślinkę. Tę grupę stanowią, podług autora, następujące rodzaje: *Botrydium*, *Hydrodictyon*, *Pandorina*, *Chlamydomonas*, a prawdopodobnie wejda tutaj *Stephanosphaera* i *Gonium*.

3. *Oophorae*, mające płeć doskonale wyróżnioną, a więc organa, z których jedne zowiemy męzkami, drugie zaś — żeńskimi. Do tej grupy są zaliczone rodzaje: *Sphaeroplea*, *Vaucheria*, *Oedogonium*, *Bulbochaete*, *Coleochaete*, *Volvox* i *Eudorina*. Naszem zdaniem wypada zaliczyć do tej grupy i *Ramienice* (*Characeae*).

4. *Agamae*, w które autor łączy wodorosty zielone aktu płciowego zupełnie nieposiadające, jak np. *Haematococcus*.

Do tej ostatniej grupy p. R. tymczasowo zalicza te wodorosty zielone, których płciowość dotychczas wykryta nie została.

Pierwsza i trzecia grupa zostały już poprzednio utworzone przez de Barego, druga zaś i czwarta są zupełnie nowe i równie naturalne jak tamte, gdyż są oparte na tejże samej zasadzie, a mianowicie na stosunkach płciowych, które są najpewniejszymi przewodnikami w klasyfikacji państwa roślinnego. Na utworzenie grupy drugiej każdy się zgodzi; co się zaś tyczy czwartej, to podzielały w zupełności zapatrywanie się autora, iż

wielu niższym istotom braknie organów płciowych, wyznać jednak musimy, że ma ono dość przeciwników, co nie przyznają wartości rezultatów negatywnych.

Na jedno tylko zgodzić się z autorem nie możemy, a mianowicie aby się *Haematococcus* i *Chlamydomonas* tak dalece różniły ustrojem swym od *Volvox* i *Pandorina*, jak autor o tem sądzi. Zresztą jest to tylko różnica w poglądach.

E. J.

Nauki lekarskie.

Prof. Dr. Korczyński: Zapalenie stawów ze stanowiska ajtyologicznego z przeważnem uwzględnieniem t. z. gościa stawowego i ropnicy. — Kraków. W druk. Univer. Jag. 1875. 8vo. 58 str. (Odbitka z Przeglądu lek.)

215] Jest to praca autora, którą ogłosił z początkiem b. r. tuż po objęciu posady prof. kliniki lekarskiej. Nadmieniamy o tem z tego powodu, że autor daje w niej niejako częściowe wyznaczenie wiary co do zapatrywania się na swój przedmiot, uznając przedział, jaki istnieje obecnie między pojedynczemi gałęziami nauki lekarskiej, za szkodliwy, i starając się wskazać, jak zdobycze jednego działu nauk lekarskich powinny wzbogacać drugą specjalność lekarską. Zapalenia stawów są właśnie tym przedmiotem, którym po największej części zajmują się chirurdzy, zaś bardzo mało terapeuci i to zazwyczaj tylko wtedy, jeżeli chodzi o tak zwany gościec stawowy. Spostrzeżenia i doświadczenia ich pod tym względem są obecnie tak obfite i tak dalece wpłynąć mogą na rozjaśnienie niejednej wątpliwości co do gościa, że autor podjął się wdzięcznego zadania, aby pojęcia terapeutów zbliżyć do pojęć chirurgicznych.

Nazwa sama „gościec“ (Rheumatismus) nie oznacza, a zadawalna wielu i odstręcza od śledzenia właściwej przyczyny. Autor radzi usunąć ją zupełnie, a zastąpić nazwą anatomiczną zapalenia stawów (arthritis), udowadniając licznymi przykładami z literatury, że gościec stawowy jest właściwie zapaleniem stawów i że zapalenie to, tak samo jak zapalenie stawów powstałe z jakiegokolwiek innej przyczyny, może od wypocenia surowicy przejść w zapalenie ropne, w bujanie tkanin błony maziowej, i w zniszczenie całego stawu.

Ze stanowiska klinicznego powszechnie wymieniają trzy cechy, odznaczające gościec stawowy, tj. mnogość stawów zajętych, szybkość z jaką choroba z jednego stawu przeskakuje na drugi i częstość wikłania się z zapaleniem śródsierdzia. Co do pierwszego udowadnia autor, że nie tylko gościec, ale i innego rodzaju zapalenia zajmują nieraz liczne stawy, i że mnogość ognisk zapalnych da się pojąć z pewnej łączności całego układu stawowego tak dalece, że drażnienie jednego stawu wywołuje częstokroć zapalenie w drugim, a spokój zupełny i ustalenie stawów łagodzi chorobę i zapobiega rozwijaniu się takowej w innych stawach. Co do drugiego, równie szybko zmieniają siedzibę także zapalenia ropnicze, a zresztą sama budowa torebek maziowych usposabia je do rychłego wypacania płynu i równie rychłego wessania. Co do trzeciego, znajdują się odosobnione spostrzeżenia, że zapalenie urazowe i to nawet jednego stawu, pociąga za sobą zapalenie śródsierdzia, a autor sądzi, że spostrzeżenia te byłyby częstsze, gdyby chirurdzy więcej na ten szczegół zwracali uwagi. — Przyczyna zapaleń stawów jest rozmaita, mniej lub więcej znana lub całkiem nieznana. Do znanych np. należą uraz, choroby zakaźne, wiewiór, zaś przyczyny właściwej gościa, mimo licznych domysłów

i mało uzasadnionych hipotez, wcale dotąd nie znamy, Najlepiej zdaniem autora będzie nazywać gościec stawowy zapaleniem stawów idiopatycznym czyli przynajmniej nieznaną, przez co wyłączy się z pojęcia tego wszystkie inne zap. stawów j. np. wiewiórowe, płonikowe, odrowe, kiłowe itp., gdzie lubo nie znamy bliżej warunków powstawania, ale wierzymy w związek przyczynowy obiedwu chorób.

Jeżeli zapytamy się, jaką korzyść osiągnie nauka z tej zmiany nazwy, to zgodzić się musimy z autorem, że dotychczasowa nazwa wprowadziła niejednego lekarza w błąd co do patogenetyzmu choroby, i odwołała w ogóle od poznania właściwej podstawy tej zagadkowej choroby. Lepiej przyznać się w medycynie do zupełnej nieświadomości, aniżeli pokrywać ją płaszczykiem nieznaczającej nazwy. Najważniejszą korzyścią jednakże jest to, że przy rozpoznaniu zapalenia idiopatycznego, trzeba wykluczyć najpierw wszystkie inne możliwe przyczyny zapalenia, przez co unika się niekiedy pomyłki rozpoznawczej z zapaleniem stawów ropniczym, czerwinkowym (które omówił autor w Nr. 52 *Przegl. lek.* z roku 1874), wiewiórowym itp.; a pod względem leczniczym sprowadzenie gościa do rzędu zapaleń stawów, skłonić musi lekarza do terapii czynniejszej jak dotąd i więcej miejscowej, która też istotnie w ostatnich czasach szczyty się daleko lepszymi wynikami, aniżeli dotychczasowe prawie wyłącznie wewnętrzne leczenie.

Z własnych spostrzeżeń przytacza autor w ciągu rozprawki przykłady rozmaitych form zapalenia stawów idiopatycznego, gdzie np. choroba pojawia się zrazu w licznych stawach, ale wkrótce lokalizuje się w jednym, lub też na odwrót zajmuje zrazu tylko jeden staw, a później rozprzestrzenia się na inne, albo gdzie pośród znacznego zaburzenia stanu ogólnego, obrzmiewa tylko jeden staw; dalej wymienia dwa własne przypadki, gdzie chroniczna puchlina stawów bez objawów zapalnych wywołała następnie mnogie zapalenie stawów; przykład, że po ustąpieniu tak zwanego gościa, jeżeli choroba pozostanie chociażby w jednym stawie, może rozniecić powtórne zapalenie mnogich stawów; наконец własny przypadek, gdzie zapal. urazowe stawu wywołało zapalenie stawów mnogie niczem nie różniące się od gościa stawowego.

Co do stosunku zapaleń stawów do ropnicy, wymienia autor trzy możliwości: raz zapalenie stawów wywołuje ropnicę tak jak każde inne ropienie, drugi raz powstaje ropnica skutkiem mnogiego idiopatycznego zapalenia stawów, innym razem nakoniec skutkiem ropnicy powstają zapalenia mnogich stawów. Odnosnie do pierwszej możliwości przytacza autor własny przypadek, drugą możliwość wyjaśnia przykładami z literatury, a co do trzeciej, opisuje własny przypadek ropnicy z zapaleniami ropnemi stawów, który powstał skutkiem ropienia głębokich gruczołów limfatycznych na szyi.

Widać, że autor zajmuje się bliżej działem zapaleń stawów, i że w rozprawie tej chciał tylko dać poznać zapatrywanie swe na niektóre szczegóły mniej pewne; spodziewamy się, że opracowawszy systematycznie cały dział chorób narządu ruchowego, przedstawi je w postaci kształtnej całości.

L. B.

D. O. Widmann. Sprawozdanie z oddziału II. chorób wewnętrznych za rok 1873. (w Sprawozd. Szpitala lwowskiego. Lwów 1875.)

216] Na str. 33—81 Sprawozdania lekarskiego szpitala powszechnego krajowego we Lwowie za rok 1873, (omó-

wionego w N. 11 *Przeglądu Krytycznego*) mieści się praca lekarza ordynującego dr. Widmanna, która zasługuje tem bardziej na uwagę, że liczba chorych oddziału tego stanowi prawie $\frac{1}{3}$ część wszystkich chorych, leczonych w r. 1873 w szpitalu lwowskim. Pod względem statystycznym autor wywiązał się w zupełności z swego zadania, podając w części ogólnej najważniejsze szczegóły, odnoszące się do ruchu chorych i wyniku leczenia; w części szczegółowej uwzględnił przy każdej chorobie jej częstotliwość, wiek i zatrudnienie chorych, wyniki leczenia, powikłania i choroby następowe, trwanie leczenia i wyniki badania pośmiertnego, a przy niektórych umiejscowienie, trwanie choroby i jej przyczynę. Lubo sprawozdania szpitalne nie są ściśle biorąc, miarą chorobliwości ogólnej, przecie pod pewnym względem przyczyniają się do rozjaśnienia stosunków zdrowotnych pewnej miejscowości, tem bardziej w naszym kraju, gdzie statystyka zdrowotna leży prawie całkiem odłogiem. Spodziewamy się, że autor corocznie podawać będzie do wiadomości ogółu spostrzeżenia statystyczne swego oddziału, i że po kilku latach poznamy dokładnie stosunki zdrowia przynajmniej tej warstwy społeczeństwa, która najczęściej szuka przytułku w szpitalu, a która jak widać ze sprawozdania, składa się przeważnie z mieszkańców samego miasta Lwowa. Przy braku dokładniejszych sprawozdań statystycznych z innych szpitali krajowych nie możemy obecnie ocenić, o ile chorobliwość ogólna Lwowa różni się od chorobliwości innych naszych miast; co do Krakowa najważniejszą jest różnica w ilości zimnic, które tu pojawiają się o wiele częściej. Ze sprawozdania wynika również, że choroby, pochodzące z nadużywania napojów wysokokowych, przydarzają się we Lwowie tak często, jak i u nas; jest to najmowniejszym dowodem opłakanego stanu, w jakim znajdują się nasze klasy robocze.

Przy niektórych chorobach dołącza autor uwagi ogólne, odnoszące się przeważnie do leczenia. Przypisać mu trzeba, że nie zaniedbuje nowszych sposobów leczenia, stosując kąpiele w durze, nieżytych oskrzelowych i zapaleniu płuc; podając wielkie dawki chininu w chorobach gorączkowych i tp., lubo nie zupełnie zgodzić się można z autorem, który podaje chinin w proszku a nie w roztworze, zamiast jednorazowych dawek najmniej 20-30 ziarnowych chininu w celu obniżenia ciepłoty, poleca dawki 10-ziarnowe często przez dzień, na koniec mało bardzo pokłada zaufania w przyrządach pneumatycznych w porównaniu z gabinetami pneumatycznymi, lubo w przyrządach pneumatycznych używamy nie tylko zgęszczanego, ale i rozrzedzonego powietrza. Opisując przypadek zapalenia nerek miąższowego przytacza autor literaturę objawu oddechowego Cheyne-Stokes'a, czem daje poznać, że nowsza literatura lekarska nie jest mu bynajmniej obca. Zato nie rozróżnia on wcale suchot płucowych od gruźlicy płucowej i nie wspomina nic o zaniku nerek pierwotnym, nadmienając, że rozróżnienia te nie mają wartości praktycznej.

W jednym tylko miejscu (str. 69) przytacza autor, że sekcyja nie stwierdziła rozpoznania. Przypisanie się do błędów rozpoznawczych jest w sprawozdaniach szpitalnych bardzo pożądanem, gdyż chroni częstokroć innych od pomyłek; przytoczenie większej ilości pomyłek rozpoznawczych — które zresztą najbieglejszemu przydarzyć się muszą — nie ubliżyłoby więc autorowi, i owszem podniosłoby wartość jego pracy. Sprawozdanie liczbowe dałoby się zresztą skrócić, gdyby autor wiek chorych wymieniał wszędzie tylko w 5ciu lub dziesiątkach lat; miejsce

w ten sposób zyskane możnaby zapełnić bądźto krótkimi uwagami o chorobie samej, lub liczniejszymi opisami przypadków chorobowych.

Mimo istotnych zalet sprawozdania, z których tylko kilka podnieśliśmy, znajdujemy w takowem niektóre wyrażenia lekarskie, niezbyt ścisłe np. zapalenie jelit krwawopięste (37), rzeżenia mieszane (51), tudzież liczne błędy językowe, np. cegielnik zamiast ceglarz, miażdżycza z. miażdżycza, zapalenie błon iawe z. błonicowe, dał się przyjąć do szpitala, ospyka z. osutka, przepowiadnia z. rokowanie.

Sprawozdawca następcza także Władzom szpitalnym sposobność poznania ujemnych stron w urzędzeniu oddziału, między którymi wymienia przeważnie lichą posługę i brak miejsca. Pierwszemu brakowi zaradzić może zdaniem naszym tylko założenie przy szpitalu szkoły posługaczy, drugi zmniejszył się zapewne po przeniesieniu chorych umysłowych do zakładu w Kulparkowie. Ze względów dogodności i oszczędności, pochwalamy bardzo, że autor zastępuje kataplazmy okładami z wody cieplej, które mniej wymagają zachodu i nie zanieczyszczają powietrza.

E. K.

Języko-znawstwo i historia literatury.

Lucyjan Malinowski (Doktor Filozofii): *Modlitwy Wacława, zabytek języka polskiego z wieku XV.*, odkryty i skopijowany przez ś. p. Aleksandra hr. Przezdzieckiego. Osobne odbicie z Pamiętnika Akademii Umiejętności. W Krakowie. 1875. 4to. 2 nlb. karty, 104 str. i tablica podobizn.

217] Autor idzie za daleko twierdząc, że „tylko na podstawie takich przygotowawczych opracowań oddzielnych pomników piśmiennych, można zabrać się z pomyślnym skutkiem do skreślenia dziejów rozwoju każdego języka“. (str. 2). Zdarzyć się bowiem może, iż pojedynczy człowiek, posiadający dosyć czasu i odpowiednią dozę wytrwałości, sam zbada pomniki pewnej epoki, albo nawet wszystkie ważniejsze pomniki danego języka, i, na podstawie tych własnych i czysto samodzielnych studyów przygotowawczych, skreśli albo historią pewnej epoki, albo też nawet całą historią tego języka. Z tem wszystkiem jednak trudno zaprzeczyć, że specjalne opracowania pojedynczych pomników są nadzwyczaj pożądane i niezmiernie ułatwiają późniejszym uczonym roboty ogólniejszego zakresu. Przedsiębiorcy zaś takie opracowania na tém większe zasługują uznanie, skoro robota podobna jest bardzo niewdzięczną; nie pozwalając autorowi wypowiedzieć oryginalnych pomysłów obszerniejszego zakresu, zmusza go do ograniczenia się ramami danego pomnika i do przedstawienia napotykaných w nim zjawisk językowych według mniej więcej przyjętego systemu. Krytyka więc, w stosunku do podobnych dzieł, ma zadanie pod pewnym względem również bardzo niewdzięczne. Ocenienie bowiem stron dodatnich musi się zredukować prawie wyłącznie do kilku ogólników i ryczałtowej pochwały za sumiennosc i obeznanie się z obecnym stanem nauki filologicznej. Inaczej wypadłoby wiersz po wierszu wykazywać miejsca, w których autor, zdaniem recenzenta, nie minął się z prawdą. Za to wykazanie wszystkich bez wyjątku usterek, choćby drobnych, jest tu potrzebniejsze, niż gdzie indziej; gdyż prace podobne służą zwykle za wzór następnym pracownikom.

Po krótkiej przedmowie (str. 1 — 2) przystępuje autor do opisanego rozbieganego zabytku pod wszelkimi

względami. Opis ten rozpada się na dwie części: na część paleograficzno-filologiczną (str. 3 — 8) i na „Rozbiór gramatyczny Modlitw Wacława“ (str. 9 — 47). Po opisie zaś idzie sam tekst Modlitw Wacława (str. 48 do 78), następnie „Porównanie psalmów Psalterza Floryańskiego z psalmami, znajdującymi się w Modlitwach Wacława“ (str. 78 — 98) i na koniec „Słownik wyrazów godnych uwagi ze względu na formę, znaczenie, itd.“ (str. 98 — 104).

Opisanie rękopismu pod względem paleograficznym (str. 3) ma tylko względną wartość; autor bowiem nie widział samego rękopismu, ale tylko posiłkował się danymi, których mu dostarczyli inni. Po opisaniu paleograficznym następuje „Treść wewnętrzna Modlitw Wacława“ (str. 3 — 5), t. j. szczegółowy wykaz wszystkich modlitw i śpiewów, zawartych w rozbieganym zabytku. Za pomocą rozpatrzenia treści pojedynczych części, porównania ich z Vulgatą i psalterzem Floryańskim i na koniec porównawczego rozbioru właściwego im języka, autor oznacza wzajemny stosunek tych części i wiek pomnika (str. 5 — 8). Pod tym ostatnim względem dochodzi on zgodnie ze zdaniem Sucheckiego do wniosku, że „rękopism przepisany został w drugiej połowie wieku XV., oryginały jednak, których jest kopią, zwłaszcza psalmy części pierwszej i trzeciej, mogły sięgać nawet XIV. stulecia“ (str. 8).

Ta część dzieła p. M., o której dotychczas mówiłem, jest tylko podrzędna; główną zaś jego zasługę stanowi obszerny i dokładny „Rozbiór gramatyczny Modlitw Wacława“. Tak więc uwagi nasze krytyczne będą dotyczyły przeważnie właśnie tego „Rozbioru gramatycznego“, przy czem bezwzględnie wytykając napotkane niedokładności i błędy, nie myślimy wcale zmniejszać wysokości wartości pracy jednego z najzasłużeńszych lingwistów polskich.

Porządek przedstawienia językowych zjawisk, wziętych z rozbieganego zabytku, jest naśladowaniem systemu przyjętego w dziełach Schleichera, i, jako zanadto sztywny i z góry narzucony, nie jest, zdaniem mojem, całkiem właściwy przy rozbiórce jednego tylko zabytku językowego. Tak np. rozdział „Prawa zgłoskowe spółgłosek“ (§§. 80 nast.) wygląda zanadto apriorycznie. Bez rozdziału zaś „o urabianiu tematów“ (§§. 84 nast.) mogłoby się zupełnie obejść. Skutkiem swego apriorystycznego traktowania przedmiotu autor rozbiera i objaśnia wiele zjawisk, które, jako właściwość języka polskiego w ogóle, nie przedstawiają wcale charakterystycznej cechy, ani danego pomnika, ani nawet epoki, z której pochodzi.

P. M. należy do gramatyków, umiających ściśle odgraniczać i nie mieszać z sobą rzeczy różnorodnych. Pomimo to, niekiedy przynajmniej, skutkiem niedopatrzności, nie wypełnia jednego z pierwszych warunków ścisłości wszelkiego rodzaju badań fonologicznych, a mianowicie nie rozróżnia liter i dźwięków. Takim bowiem tylko pomieszaniem liter i dźwięków, można objaśnić: wyrażenie, że *k* t. j. *k* zmiękzone najczęściej nie różni się od *k* twardego“ (§. 10), wyciąganie z napisania *szewyathay* (świętej) wniosków fonologicznych (§. 47), przypisywanie przyimkowi *z* „pierwotnej formy“ *s*, *se* (a nie *z*, *ze*) (§. 77, słownik p. s. *s*, *srazić*, *swada*) chociaż w §. 25 sam autor zauważył, że znaki *s* i *sz* służą dla wyrażenia nie tylko dźwięku *s*, ale także i dla *z*. Podobnie nie można przyjmować wyrazów *weźrząd*, *pioznka* i t. p. (§. 80), jako też z napisania *wszagzee*, *lidzba* itp. wnioskować o prawie przejścia bezdźwięcznych w dźwięczne

(§. 80), itd. Wszystkie te szczegóły należą nie do fonologii, ale tylko do pisowni.

Mówiąc o ściąganiu (kontrakcyi) samogłosek (§. 52), autor nasz wpada w całkiem fałszywy Miklosyczowski formalizm. Tego zaś, że dopatrując się w *dufać* raz ściągnięcia *ou* w *u* (§. 52), drugi raz zaś zniknięcia samogłoski *o* (§. 53), popada w sprzeczność, zdaje się zupełnie nie spostrzegać. Nie zawadziłoby też wyraźne wskazanie danych, na których autor oparł swoje twierdzenie, że „w os. 1.ój l. mn. cz. ter. końcowe *y* ginie“ (§. 53). Do tej samej kategorii należy to, co w §. 80 czytamy o wyrazie *anioł*. Obok tej śmiałości w przesadzaniu niektórych zjawisk dziwnie odbija ostrożność, z jaką autor wstrzymuje się od rozstrzygnięcia kwestyi co do wymawiania dźwięków wyrażonych znakami *s* i *sz* w wyrazach *wsgardzenie* itd. (§. 25).

Niektóre twierdzenia autora nie znajdują poparcia w historii języka i grzeszą brakiem ścisłości i konsekwencji, niezbędnej przy wszelkiego rodzaju wnioskowaniu naukowem. Tak np. trudno pojąć, dla czego grupy *sk* i *sp* przeszły w *szk* i *szp* w wyrazach *szkoda*, *nieszpór* itp. (§. 14), pozostały zaś niezmienionemi w *skóra*, *skąpy*, *spory* itd., dla czego miękkie *l* w już przyswojonym wyrazie *kościół* przeszło w *ł* (§. 29), pozostało zaś jako *ł* w *kaszal*, *Samuel*, *król* itd. Polskie *e* w *mleko*, *strzedz* nie powstało wcale ze starosł. *ě* (*h*) (§. 8), podobnie jak i odpowiedniość polskiego *o* w *bloto*, *grod* itp. starosłowiańskiemu *a* (§. 51) nie ma najmniejszej podstawy w historii języka, chociaż zresztą te błędne mniemania wspólne są p. Malinowskiemu ze wszystkimi dotychczasowymi lingwistami. Polskie *e* „przeszło na *o*“ nie przed wszystkimi twardymi spółgłoskami (§. 45). Polskie *i* nigdy nie odpowiada starosł. *ě* (*h*) (§. 49), równie jak starosł. *ъ* nigdy się nie odbija (reflektuje) w polskiem *o* lub też *a* (§. 50). Tylko krótkie łacińskie *a*, nie zaś, jak twierdzi autor (§. 51), długie, przeszło w polskich wyrazach przyswojonych w *o*; długie zaś pozostało *a*, np. *ołtarz* = *altare*, itp. W *obfity* z *optwity* nigdy nie zniknęło *y* (§. 53). To, co autor mówi o *r* w *srebro*, *śron* itp. (§§. 75, 83), nie znajduje potwierdzenia w faktycznej historii języka (por. Бодуэн-де-Куртене, О древне польскомъ языкѣ, §. 57). W *świrdził* itp. przeszło w *ć* nie *t* (§. 80), ale tylko dawniejsze bezpośrednio-miękkie *t'* (*ti*). Forma *okwity* spotyka się nie tylko u współczesnych (§. 82), ale także i u dawniejszych pisarzy. Znajomość praw głosowych języków słowiańskich nie pozwala uważać połączenia dźwięków *cz* za równoważne z *czn* (§. 85), przy czem zresztą zapomniano, że połączenie miękkiej spółgłoski *cz* z twardą samogłoską *ъ* nie jest wcale możliwe. Trudno się zgodzić z autorem, że rzeczowniki żeńskie z tem. na *a* z poprzedzającą spółgłoską mają w starosł. gen. sg. zawsze „na *ę*“ (§. 91), że *mnie* może być formą tylko genitiwu (§. 112), kiedy jest to również jak najprawdopodobniejszy dativus.

W epoce „Modlitw Wacława“ możliwe było tylko *obirám* itp., nie zaś po teraźniejszemu, *obiérám* itd. (słownik). Również w słowniku do „Modlitw Wacława“ uprawnionem jest tylko *jęstwo* albo raczej *jęcstwo*, nigdy zaś *jęstwo* lub *jęcstwo*. Z napisania zabytku można wynioskować dla słownika tylko przymiotnik *łacwi* (z miękkim *w*), a nie *łacwy*.

Żeby nowa polszczyzna „zamieniając *g* na *h*“ w *hańba*, *ohydny* itp., miała uleść „wpływowi czeszczyzny“ (§. 72), pozwolę sobie wątpić.

Dotychczas nie wiadomo wcale o deklinacji rzeczownikowej zaimków wskazujących, i chyba tylko przez prostą pomyłkę lub niedopatrzenie się p. M. przyjmuje ją od zaimka *ś, sia, sie* (*sio*) w wyrazie *dzisiaj* (§§. 73, 113). Jakim sposobem „*dnia + sia*“ mogło dać *dzisiaj*, dla nas przynajmniej jest rzeczą całkiem niepojętą. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, *dziś* jest formą pierwotną tego przysłówka i przedstawia właściwie accusativus *dzień + ś* starosł. *dñisĩ*, z *dziś* zaś, według analogii *wczora* itp., powstało *dzisiaj*, itd. Czysto fonetyczne przejęcie *j* w *ń* w *wynidzie* itp. (§. 3), w skutek najnowszych badań lingwistycznych w dziedzinie języków słowiańskich musi być uważane za niemożliwe. Trudno pojąć, jakim sposobem *z* w *zlesz* może być przyimkiem (§. 77).

Autor zdaje się przywiązywać wielką wagę do rozdziału „*O samogłoskach nosowych*“ (§§. 54. nast.); jednakowoż trudno powiedzieć, żeby rozdział ten należał do najudatniejszych. Szlaskie *ę* (nosowe *o*) odpowiada nie tylko starosłow. *ę* (§. 54), ale także i starosłow. *ę*. Mylnem jest również mniemanie, że *imie* i *pienie* należą do tematów na *-nt* (§§. 59, 64), że „starosł. *ę*, opolskie *e* w końcówkach wyraża Wacław... przeważnie przez *e*“ (§. 68), itd. Starosł. *ę* stoi nie tylko po twardych (§. 63), ale także i po miękkich spółgłoskach. Wniosek o *ę*, zbliżającym się do *i* (t. j. do nosowego *i*) (§. 66), oparty jest na prawdopodobnej omyłce pisarskiej (*poszwinczony* zam. *poszwianczony*, §. 58). Co znaczy samogłoska nosowa „*pochylona*“ (§. 60), i jakim to sposobem jej „*pochylenie*“ mogło być wyrażone przez podwojenie znaków (§. 69? Trudno też pojąć, jakim sposobem *ę* (t. j. nosowe *a*) mogło ustępować na drodze czysto fonetycznej dźwiękowi *ę* (§. 67). Nie to zresztą dziwnego, że rozdział „*O samogłoskach nosowych*“ w rozbieżnej książce przedstawia tak mało pozytywnych rezultatów; jest to bowiem właściwością wszelkich w ogóle wniosków o naturze polskich samogłosek nosowych, wyciąganych jedynie z zabytków piśmiennych.

Autor nasz przyjmuje dla starosłowiańskiego pierwiastki z twardym *ъ*: *wręch, prw, trp* itp. (§. 42) lubo wiadomo, że jestto dogmat jednego tylko Miklosicha, który sobie w nim upodobał, wbrew danym poczerpniętym z zabytków starosłowiańskich, jako też wbrew logicznemu wnioskowaniu, opartemu na porównaniu języków słowiańskich między sobą i z językami pokrewnymi. Przy tym pozwolę sobie zauważyć, że stawianie różnicy samogłosek pierwiastkowych w wyrazach *twardy* obok *ciwirdza = twierdza* itp. w zależności od twardości lub też miękkości sylaby następującej (§. 42) jest oczywistym błędem. Różnica ta zależy od czego innego.

W Warszawie itp. pisza wprawdzie *chańba, ochydney* itp. (§. 72), ale to tylko ludzie, nie znający dobrze ortografii polskiej, a kierujący się jedynie słuchem; należało więc o tym wyraźnie powiedzieć. Twierdząc, że pisownia *bozstwa* wskazuje na etymologiczne poczucie niewymawianego dźwięku *ż* (§. 75), p. M. przypisuje starym Polakom to, co zdaniem naszym musiało im być zupełnie obcym.

Autor nie uwzględnia etymologii ludowej (Volksetymologie) przy wyrazie *nieszpór* (§. 83). Również nie uwzględnia on wpływu analogii przy objaśnieniu wyrazów i form *siostrze* itp. (§. 45), *żyję* itp. (§. 79), *zrada*, *zdjąć* itp. (§. 81), *dzisiaj* (§§. 73, 113), końcówek genit. sing. fem. *-ej* (§. 91); instrum. sing. neutr. *-im* (§. 95), 1. os. l. mn. cz. teraźn. (§. 53) itd., lubo przyjęcie

działania tej siły językowej, dla należytego objaśnienia tych form i końcówek, jest rzeczą niezbędną. Za to niewłaściwie stosuje p. M. kategorią analogii, objaśniając wyrazy *wirszyk* (§. 48), *blągostawic* (§. 88), prawdopodobnie omyłkową formą locat. *otchłanie* (§. 96), widząc w formie dativu *troyce, panyey* itp. analogiczny wpływ genitivu (§. 92) itd. Trudno także prosty błąd pisarza (*krzywzdy*) uważać za objaw analogii (§. 81). Niedokładnie wyraża się autor, objaśniając wpływem analogii locativus na *-u* (§. 96).

P. Malinowski mylnie uważa wyraźny accusativus *czaszi* za genitivus (§. 98), a w napisaniu *korony*, stojącym przez pomyłkę zamiast *korow*, dopatruje się genit. plur. od *korona* (§. 98), itd. Vocativy *rafale michale* nie stanowią żadnego wyjątku (§. 94), pochodzą bowiem od rzeczowników *Rafał, Michał* z tematową spółgłoską twardą.

Skutkiem wspólnego mu z wielu innymi uczonymi uganiania się za osobliwościami, autor nasz nie zrozumiałszy czasami tego lub owego miejsca w rozbieżnym zabytku, wynajduje formy nigdy nie istniejące, oraz w prostych omyłkach pisarskich widzi częstokroć wskazówki jakichś szczególnych skądinąd nieznanych zjawisk. Dobre wyciąganie wniosków o właściwościach pisowni lub też języka z prostych omyłek pisarskich spotykamy w §§. 7 (oznaczenie *i* przez *v*), 4 (*e* przez *o*), 5 (*o* przez *o*), 2 (*a* przez *a*), 16 (*rz* przez *r*), 48 (przyiaczeli), 50 (obranycza), 75 („ślady pierwotnego zmiekczenia nieprzechoźnego *r*“), 76 (swianti, odpand), 78 (kazidla), 80 (glamokosci!!), przejście *b* w *m* (!), 91 (mnostwi), 92 (czio-tuchny), 136 (zarze) itd. Do słownika wkradły się w ten sposób przymiotnik *dziw* (nibyto *dziki* (!)), gdy tymczasem jestto rzeczownik *dziwo, dziwich*, bowiem stoi zamiast *dziwiech*), *opocowanie* (!) itd.

Co do zewnętrznej strony rozbieżanego dzieła, to przede wszystkim razi nas w niektórych miejscach język trochę sztywny, kilka germanizmów, jak np. „*zachodzić*“, „*zachodzi*“ (vorkommen, kommt vor) itd. W terminologii wyrazu „*titel*“ (§. 38) zam. „*znak skrócenia*“ lub t. p. nie można uważać za bardzo stosowny.

W kilku miejscach autor nasz powtarza po dwa razy jedno i te same przykłady. Tak np. w §§. 8 (ktorzi do-bree czynili), 62 (nablogoslawiona mnye rzeko). W tym ostatnim wypadku nie wiadomo nawet, czy autor uważa *nablogoslawiona* za accusat., czy też za instrum.

Tak w samą rozprawie, jako też w tekście zabytku przecinkowanie (przestankowanie) jest cokolwiek zaniedbane, i wogóle za dużo i tu i tam bardzo ważnych omyłek drukarskich, co zresztą powinno być, choć w części, usprawiedliwione trudnością korekty i żmudnością całej pracy. Z omyłek drukarskich wskazuję dla przykładu na §§. 12 (vezinil, swgych), 16 (60 zam. 61), 24 (*nyi* zam. *nyi, ny*), 40 (n: pol:), 78 (wyrazach zam. wyrazie), 93 (żenie zam. żem'e), 157 (z aorystesi) itd.

Autor nasz nie objaśnia wielu skrótów, jako też nie objaśnia, co znaczą w wydaniu tekstu litery, wydrukowane kursywą. Na str. 2 czytamy: „Tekst Modlitw Wacława skopijowany został z wiernością paleograficzną, z zachowaniem rozmiaru stron i wierszy oryginału. W tej formie podajemy go i tutaj“. Tymczasem w istocie nie ma w wydaniu najmniejszego śladu dzielenia wierszy re-kopismu; jedynie tylko zachowano jego stronnice. Tak w tekście rozprawy, jako też w „Porównaniu psalmów“ i w „Słowniku“ znajdujemy wiele niedokładności w rodzaju opuszczenia str., gdzie spotyka się cytowany wy-

raz lub wyrażenie, itp. Por. np. słownik p. w. *poczesność*, *przystać*, itd.

Rozszerzyliśmy się może za nadto o różnych, często bardzo nieznaczących błędach; chcieliśmy bowiem, ażeby nasz rozbiór zastąpił niejako czytelnikowi opuszczone w samej książce „Sprostowanie omyłek drukarskich“. O dodatkach zaś stronach dzieła p. M. rozwódzić się nie będziemy z przyczyn na wstępie wspomnianych, ogólny zaś swój sąd o niem zawrzemy w tych kilku słowach, że pomimo pewnych usterek i niedokładności, jest o praca dokonana z wielką sumiennością i z prawdziwym taktem naukowym. *B. de C.*

Z. Węclewski. Dziewice Trachińskie, tragedia Sofoklesa.
Przekład. Poznań, 1875 str. 85, 8vo.

218] Nie poraz pierwszy czytamy niniejszy dramat Sofoklesa w polskim przekładzie. Już bowiem przed kilkunastu laty (w r. 1859) wydał go p. W. w dodatku do *Czasu*, a lat temu dziesięć ukazało się w Warszawie tłumaczenie p. Kaz. Kaszewskiego. Trachinki uważają znawcy za najłabszy z pozostałych siedmiu utworów starożytnego poety. Zgadzać się na sąd, przepomnieć nie możemy, że jestto zawsze utwór mistrza, noszący na sobie cechy geniuszu. Osnowa wzięta z podań o Heraklesie, do pewnego stopnia dla celów dramatycznych zmieniona, podała i tu Sofoklesowi sposobność do rozwinięcia swojej głębokiej znajomości ludzi, a przedewszystkiem do skreślenia delikatnych uczuć kobiecych charakterów. Miłująca, zacna Dejaneyra, małżonka najznakomitszego bohatera greckiego Heraklesa oczekuje z tęsknotą jego przybycia, aby mu po ciężkich trudach przy domowym ognisku chwile spoczynku osłodzić. Pierwszą zapowiedź pewnego przybycia przynosi jej poseł Lichas, wodzą pod jej opiekę kilka branków, a między nimi piękną Jolę. Na nieszczęście swoje dowiaduje się Dejaneyra, że Herakles kocha Jolę, a nie mogąc przenieść na sobie, aby obok niej, prawej małżonki, miała przebywać w domu rywka w osobie niewolnicy, ucieka się do podstępu, celem odzyskania wyłącznej miłości męża. Nierozważnie pokłada zupełną wiarę w słowa konającego centaury Nessosa, który z jej powodu z ręki Heraklesa zginął, macza szatę w krwi jego właśnie w tym celu przechowanej i jako zbawczy środek mężowi ją posyła. Niszczący jad ukryty w sukni dokonał swojego, Herakles wśród strasznych męk patrzy na zbliżającą się niechybna śmierć, ale pragnie umrzeć w zakątku domowym. Nim go do Trachinu przynieść zdołano, Dejaneyra przeklęta przez syna, życie sobie odebrała. Taki los zgutowała jej nierozwaga. Herakles przyniesiony do oczystej zagrody, daje synowi przed śmiercią rozporządzenia i każe się wynieść na górę Oję, aby tam ziemską wędrówkę zakończyć. — Ogólnie ludzka myśl zawarta w tym dramacie i znakomite jej przedstawienie czyni go ciekawym i jeszcze dziś pouczającym, choć przeszło dwa tysiące lat od śmierci jego twórcy upłynęło.

Z wielką ciekawością zabraliśmy się do porównania tłumaczeń obu naszych uczonych mężów. Nie są one tak skończonem dziełem, aby mogły zastąpić oryginał. Nie można ich kłaść na równi ani z giałrem Mickiewicza, ani z odyseją Siemieńskiego. Wspólną przekładów Trachinek cechą jest, że poznać w nich zawsze przekład. Za mało mają samoistnej siły i poetycznej twórczości, któreby na oddanie greckiej poezji wynalazły nową, swoją, a przecież duchowi klasycznemu zupełnie odpo-

wiadającą formę. W każdym jednak razie przekłady te świadczą niemyślnie, że nie brak już u nas ludzi, którzy dobrze rozumieją ducha i piękności pierwowzoru, i że zamiłowanie w utworach starożytnego świata naprawdę rozpoczyna się krzewić. Są to tłumaczenia sumiennie i starannie dokonane, a mają jeszcze tę korzystną stronę, że się wzajemnie uzupełniają.

Przekład p. K. napisany prócz chórów jedenastozgłoskowym rymowanym wierszem jest gładki i lekki; czytelnik przyzwyczajony do nowszych utworów, będzie go czytał z większą łatwością. Wierności odmówić mu w ogóle nie można. Zrozumienie tekstu jest trafne; do wyjątków zaliczyć należy mylne przełożenie greckich wyrazów w w. 22gim οὐ γὰρ οἶδα. Nie znaczą one: „bom tam nie była“; owszem Dejaneyra była obecną walce między Heraklesem a Acheloossem, a opisać jej tylko dla tego nie może, bo patrzyła na nią przejęta trwogą o niepewną przyszłość i nie zważając na pojedyncze przejścia walki, tylko jej końca czekała. Zmienionym jest także sens wiersza 57go, bo tam służebnica nie pragnie „by (Hyllos) zaczął stąpać w piękne ojca ślady“, co byłoby dodatkiem nie na swym miejscu, lecz czyni tylko uwagę: jeżeli Hyllos troszczy się, czy się ojcu dobrze powodzi. Co się tyczy innych drobnych niedokładności, zwracamy tylko uwagę na wiersze 48, 70, 74 — 75, 211, 266, 727 — 728, 888 i kilka innych.

W tłumaczeniu p. W. ani nawet tak drobnych nie znajdziemy usterek. Jeśli jakie w dawniejszem z r. 1859 były, usunął je tłumacz w niniejszej pracy. P. W. trzyma się w szczegółach oryginału daleko ściślej; trudno prawie znaleźć wyrazu, któryby w przekładzie był pominięty. W miejscach, w których tekst nie da się na podstawie pozostałych rękopisów ustalić, poszedł p. W. z wyuczajnie za najodpowiedniejszym domysłem komentatorów, aby sens w przekładzie wypadł zrozumiałe: tak np. w w. 526 przyjął słuszną konjekturę Schneidewina, a w w. 419 trzyma się scholiów itp. Dokładność tłumaczenia uderza szczególnie w chórach, gdzie dobieranie rymu daleko większe pod tym względem stawiało trudności. W nowem bowiem wydaniu tylko pieśni chórowe i śpiewy zwane ἀπὸ σκηνῆς rymowym są przełożone wierszem. Poszedł tu autor za trafnem pocuciem. Gdy bowiem na wskroś misternego rytmu chórów Sofoklesa w naszym języku prawie niepodobna oddać, pozostał rym prawie jedynym punktem wyjścia. Rym w dyalogu, którego użył tłumacz w dawniejszem swoim tłumaczeniu, krępował go widocznie. To go też teraz zarzucił. Ze w dyalogu nie zachował jambicznego trymetru, nie można mu z tego robić zarzutu, bo wiersz ten, choć i go u nas nieraz już próbowano, nie odniósł jeszcze stanowczego zwycięstwa. W każdym razie, jeżeli się rozchodzi o zastąpienie go innym wierszem, chętnie zgodzić się można z tłumaczem na trzynastozgłoskowy wiersz nierymowany. Potoczność jego zbliżona do prozaicznej mowy, dostateczny rozmiar chroniący go od szybkich przerw i ulotności, są to cechy, które mu śmiało nadać mogą prawo obywatelstwa w tłumaczeniu greckiej tragedii. Dykeyja w przekładzie pana W. wypadła poważniej, więcej w niej spokoju właściwego dyalogowi greckiej tragedii. Tłumacz schwycił i zachował wybornie wdzięk i delikatność mowy Sofoklesowej, pisze językiem szlachetności pełnym, korzysta z całego zapasu dosadnych wyrazów pisarzy naszego złotego wieku, kusi się nawet o utworzenie nowych, z których jednak nie jeden, jak „Kosmopiersi“ w w. 557 (δαρύπτερος) i „chłopakoinę“ w w. 1095 (ἰσθαμόνα στρα-

τὸν θηρῶν) nie całkiem mu się udał. Ustępy, w których gwałtowność burzliwym strumieniem słów wybucha, jak np. od w. 742, a szczególnie od w. 1046 nie w przykładzie z siły swojej nie straciły. Tak samo silne słowa, tak samo urywana ich konstrukcja. Mamy wyraźne ślady, że tłumacz w tym kierunku sumiennego dokładał starania. Są wprawdzie ustępy, gdzie p. W. więcej zawiła budowę zdań greckich stara się w przykładzie naśladować i właśnie ta dokładność wypada niekiedy na niekorzyść tłumaczenia. U pana K. lżej się takie miejsca czytają; niech służy za przykład słowa od w. 94, które p. W. tak tłumaczy:

Tego, co gwiazdami tkana
Rodzi noc, gdy pokonana,
I do łoża snu układa
Znów, Heljosa, Heljosa,
Boga światła słowy temi
Błagam,

co w tłumaczeniu pana K. brzmi jak następuje:

O ty, co cię noc ruchliwa,
Gdy gwiazdzista szatę zdziera,
Z wnętrza swego wydobywa
I znów w głębiach swych zawiera
Światło jasne i pałace,
Ja cię błagam, błagam, słońce!

Może się też komu wydać, że niektóre miejsca, jak np. chór od w. 498 p. K. pięknie i gładziej przełożył; i na to chętnie się zgadzamy, niechęć przez to powiedzieć, jakoby przykład p. W. był niedobry, owszem i on nie jest bez wdzięku. Nadto w ogólności znajacemu utwór starożytny w oryginale przedstawia się przykład p. W. nie tylko w szczegółach dokładniejszy, ale także w ujęciu ducha więcej odpowiednim.

Liczne uwagi, które p. W. umieścił przy końcu na 9ciu stronach dotyczą tekstu, jakiego się tłumacz trzymał, wyjaśniają dokładnie rzeczy odnoszące się do mytologii, starożytości i geografii, wyluszczaają sens oryginału dla lepszego zrozumienia związku. W innych tłumaczy się autor, dla czego od dosłownego przekładu nieco odstąpił. Są to uwagi cenne dla czytelnika niewtajemniczonego w czasy Sofoklesa. Nic im zarzucić nie możemy.

We wstępie opierając się na przemowie Schneidewina do Trachinek, a nawet po części ją tłumacząc rozstrzyga tłumacz pytanie, o ile pierwotną postać mytu Sofokles zmienił i krytycznie te zmiany uzasadnia, a podawszy treść Sofoklesowej tragedii i skreśliwszy charakter w tej sztuce występujące, dorzuca kilka słów o budowie dramatu. Porównanie Trachinek z Herkulesem Etajskim Seneki, którego Schneidewin tylko kilkoma słowami dotyka, rozwija p. W. szerzej wtrącając kilka ustępów z rzymskiego tragika w piękne polskie tłumaczenie. L. K.

Powieści.

Michał Bałucki. Z obozu do obozu. Powieść. Warszawa 1875, str. 636, 8-vo.

219] Obszerna ta powieść osnuta jest na przeprowadzeniu demokracji do obozu arystokratycznego, a arystokracji do obozu demokratycznego.

Antoni K., człowiek młody i bardzo zdolny, wraca do kraju po ukończeniu niemieckiego uniwersytetu, a mierząc o katedrze uniwersyteckiej, przyjmuje współpracownictwo w dzienniku demokratycznym; w dzienniku,

w którym prócz jednej tylko sympatycznej postaci, spotyka warcholów, intrygantów, głupców, a co gorsza, ludzi bardzo nieuczciwych. To też wkrótce pada Antoni ofiarą intrygi i złości. Kandydatura jego na posła i na katedrę upada, a Antoni piorunuje w rozdrażnieniu na demokrację, i przyjmuje na koniec kierownictwo w dzienniku klerykalno-arystokratycznym. Ale Nemezis ściga go, Antoni traci szacunek nawet w obozie arystokratycznym, a co gorsza, traci serce ukochanej. A więc rozpiera się, dostaje jakby pomieszania zmysłów i umiera tragicznie w kościele w chwili, gdy jego przyszła wstępuje do klasztoru. Inaczej kończy Władysław arystokrata. Wychowany w domu zanego i rozumnego hrabiego Medarda, spędza całą młodość na próżniactwie, pomimo, że żyje tylko z łaski swego dobrodzieja; aż dopiero gwałtowna scena między nim a synem hrabiego w obecności kobiety, o której serce rywalizują, otwiera mu oczy. Porzuca więc dom hrabiego w nocy, i idzie, gdzie go oczy poniosą, aż na koniec szczęśliwym trafem dostaje się do fabryki w okolicy Wiednia, otrzymuje tam miejsce, pracuje, wyrabia się, wszyscy go kochają; w dalszym ciągu staje się bogatym i żeni się z tą, o której już i marzyć nawet nie śmiał.

Taka jest treść powyższej powieści, a przystępując do oceny jej, trudno ukryć podziwienie, jakim sposobem tak wprawny i zdolny autor, mógł popełnić nie tylko pewne niekonsekwencje, ale i błędy psychologiczne.

Pomijając już kwestję arystokracji i demokracji, którą niewiele się u nas zajmują, przedstawia nam się główny bohater, jako człowiek wysoce zarozumiały, niewyrobiony, a wreszcie bardzo słaby, jak skoro mógł tak nisko upaść.

Trudno bowiem przypuścić, aby przekonania demokratyczne lub arystokratyczne, stały w tak nierozrywany związek z całym szeregiem uczuć i zasad moralnych, że gdy się zrywa z pierwszymi, następuje upadek moralny, a w dalszym ciągu pogarda od ludzi, tak dalece, że zgryzoty sumienia, każą szukać spokoju w kieliszku wódki! Trudno zrozumieć, dla czego najzapaleńszy demokrat, gdy się uspokoi, lub zmieni przekonanie, ma zarazem tracić poczucie uczciwości, szacunek u ludzi — ba, miłość kobiety, którą byleco nie rozczaruje, a która zwykła bronić do końca, nawet w razie rzeczywistego występku. A tymczasem ta kobieta, która dla Antoniego przełamała wszystkie przesady rodu, porzuca go dlatego, że go w jednym towarzystwie oskarżają!

O co, — czy o porzucenie obozu demokratycznego? Bynajmniej — ale o to, że ten człowiek subtelniejszych uczuć — bo takim ma być Antoni — odwrócił się ze wstrętem od zgrai ludzi, zowiących się demokratami, których zasadą jest nienawiść do wszystkiego, co uczciwe i wykwintniejsze. A przecież tylko z takimi styka się Antoni. Gdzież wreszcie to stronnictwo demokratyczne? Czy w postaci Urbana i jego zwolenników, za którymi na skinienie snują się tłumy okopane dymem fabrycznym, o idiotycznych twarzach, jak ich sam autor przedstawia?

Za cóż więc tak nieubłagane ściga Antoniego Nemezis i zmusza do zakończenia krótkiej kariery w sposób, w jakim nam zwykle w młodocianych latach przedstawiano śmierć zdrajcy ojczyzny?!

Prócz tego, uderza w tej powieści nienaturalność w przedstawieniu zajadłej walki dwóch stronnictw, o której tak dalece u nas nie słyhać, a którą wypełnia autor większą część powieści. Gdzież bowiem spotkać te intrygi,

gorące debaty i sceny gwałtowne, których źródłem nieublagana nienawiść dwóch stronnictw. Tej to okoliczności należy przypisać, iż powieść mniej zajmuje, pomimo artystycznie przeprowadzonych dyalogów i scen, jak również znakomicie odmalowanych pojedynczych typów.

Drugi bohater Władysław lepiej się udał. Autor przeprowadza w nim ową odwieczną prawdę, iż praca ucziwa zawsze zgotuje człowiekowi spokój i szczęście. Ale ta prawda odwieczna nie ma wspólnego ani z arystokracją, ani z demokracją, i da się równie dobrze zrealizować w fabryce żelaza jak w dzienniku, na roli lub w szkole, a Antoni lub Władysław tak samo mogli pozostać uczciwymi, pracując w owym dzienniku hrabiego Medarda.

Autor jednak prowadzi Władysława do ulubionej fabryki, a tam dopiero odkrywa przed nim świat aniołów i prawdziwych ludzi. A zkadże przychodzi fabryka do tego wyjątkowego przywileju? czyż koniecznie już trzeba rece zakasać, twarz osmolić i od Niemca się uczyć, aby stać się użytecznym obywatelem, i czy już tylko fabryka ma być owym ogniem probierczym na złoto?

W całej powieści uderza jednak najwięcej koniec dwóch bohaterów: Władysława i Antoniego. I nie dziwnego: bo jeżeli pierwszy z nich dobija się powszechnego szacunku wówczas, gdy drugi bezpotrzebnie umiera tak tragicznie, nie wzbudzając nawet sympatii, to mimowolnie nasuwa się myśl, iż Pan Bóg ukarał chyba Antoniego za odstępstwo od demokracji a nagrodził Władysława za odstępstwo od arystokracji; a tego przecież ani autor nie myślał ani nie miał zamiaru dowodzenia.

Na tem kończymy sprawozdanie, a jeżeli przez cały czas zastanawialiśmy się nad tendencją powyższej powieści, to jedynie ze względu na sprzeczności znajdujące się w niej, które nie dozwoliły nawet zwrócić nam uwagi na prawdziwie artystyczne jej strony, na których jej również tak jak innym powieściom tego autora nie zbywa..

li.

Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Z końcem feryj powrócił ruch w Akademii w zwykły dotychczasowy sposób się objawiając. Wszystkie też trzy oddziały odbyły już w bieżącym miesiącu swoje zwyczajne posiedzenia. W wydziale filologicznym (11 października) złożono cały szereg nowo nadesłanych prac: prof. Ogonowskiego: „O przymkach w języku starosłowiańskim, ruskim i polskim“; p. Paryłaka dalszy ciąg już dawniej nadesłanych: „Idiotyzmów mowy polskiej w Drohobyczku i okolicy jego“; oraz: „Mieszaniny językowe“; p. Zyg. Glogera: „Nazwy weselne, wyrażenia i przedmioty używane przy godowych obrzędach ludu“; p. Weinerta: „O założeniu pierwszej biblioteki publicznej w Warszawie roku 1598“; wreszcie pracę członka zwyczajnego Akademii prof. Węclewskiego: „Wiadomość o życiu i pismach Grodecka“, jak wiadomo słynnego między 1820 a 1831 r., profesora filologii klasycznej w uniwersytecie Wileńskim. Nadto odczytano na tem posiedzeniu ocenę prof. Brandowskiego pracy p. Kruczkiewicza, jeszcze przed feryami Akademii złożonej; a p. Łuszczykiewicz, członek

Akad., przedstawił rysunki ciekawego zabytku aż w XIII wiek sięgać mającego, kościoła w Kościelcu.

I w wydziale historyczno-filozoficznym zebrało się sporo prac świeżych (12 października): Dra A. Sokołowskiego: „Bezkrólewie czeskie po śmierci Zygmunta Luxemburczyka“; p. Kirkora: „Pokucie pod względem archeologicznym“; p. Grajnera: „Świat podaniowy“; pana Weinerta: „O bractwach litewskich w Polsce od r. 1333“. Nadto przedstawiono rękopism mieszczący w sobie polski przekład skreślonych pierwotnie po łacinie przez X. Szpota, Jezuitę: „Dziejów bezkrólewia po Janie III“, udzielony przez hr. Starzeńskiego.

Nakoniec w wydziale matematyczno-przyrodniczym (20 października) złożono i odczytano w streszczeniu rozprawę prof. Zbrożka: „Teorya planimetru biegunowego“, przeznaczoną do pomieszczenia w publikacjach akademickich. Natomiast inne rozprawy, w tym czasie wydziałowi przedstawione, uznano za takie, z których, dla samej ich treści, Akademia użytku zrobić przez ogłoszenie ich nie może.

Czytelnik pobieżnie nawet przeglądający to suche sprawozdanie które tu podajemy, mimowoli zapewne spostrzeże, iż w wydziale matematyczno-przyrodniczym w porównaniu do innych, ruch naukowy najmniej jest żywym. Zauważyć to można było już i przy poprzednich sprawozdaniach; a nawet publikacje akademickie zdają się stwierdzać taką uwagę. Bo—pomijając wydawnictwa pojedynczych komisyj—podczas gdy tak Pamiętnika jak Rozpraw i Sprawozdań tego wydziału po jednym tylko dotychczas ogłoszono tomie, to Pamiętnika połączonych dwóch innych wydziałów już dwa, Rozpraw wydziału filologicznego także dwa tomy się ukazały, a wydział historyczno-filozoficzny trzy nawet już wydrukował, a 4-ty lada dzień się ukaże. To zjawisko, dziwne, skoro przecież nie zbywa nam na ludziach samoistnie uprawiających nauki matematyczne i przyrodnicze, a zwłaszcza lekarskie, tylko tem się da wytłumaczyć, o czem, jako o wielkiej dla Akademii niedogodności, już nierazemy wspominali: obawą ze strony tych pracowników, aby ich badania, w języku dla świata naukowego mniej przystępnym ogłoszone, nie przepadły dla ogólnego postępu wiedzy. To też gdy się tę niedogodność usunie ogłaszając w językach francuskim i niemieckim przynajmniej streszczenia publikacji akademickich — a wiemy, że się o to obecnie w Akademii skrzętnie starają — to nie wątpimy, że i ruch w wydziale matematyczno-przyrodniczym ożywić się powinien.

Do komisyj akademickich jeszcze ruch naukowy niezupełnie po letnim odpoczynku powrócił. Dwie dopiero, bibliograficzna i językowa w bieżącym miesiącu się zbierały. To też w przyszłym sprawozdaniu pomówimy o komisjach w ogólności.

Kraków 25 Października 1875 r.

Bibliografię nowości nadesłanych do Redakcyi musimy dla braku miejsca odłożyć do przyszłego numeru.

PP. Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby o ich publikacjach podana została natychmiast wiadomość bibliograficzna, a później w najbliższym czasie krytyczna ich ocena zechcą takowe nadsyłać do Redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.